

# Clive Barker

## „Zakazany”

Opowiadanie „Zakazany” znajduje się również w 5 części „Księgi Krwi” pod tym samym tytułem.

**Przełożył:** Sławomir Dymczyk

Podobnie jak piękno budowy klasycznej tragedii nic a nic nie obchodzi ludzi w niej cierpiących, tak oglądana z lotu ptaka doskonałość kształtów osiedla Spector Street była obojętna jego mieszkańcom. Mało co przykuwało wzrok albo pobudzało wyobraźnię spacerujących ponurymi kanionami, przechodzących mrocznymi uliczkami od jednego szarego betonowego sześcianu do następnego. Te kilka młodych drzewek, które posadzono na skwerkach, już dawno zostało okaleczone i wyrwane. Trawie, choć wybijającej, stanowczo zbywało na soczystej zieleni.

Bez wątplenia to osiedle oraz dwa sąsiednie były niegdyś marzeniem każdego architekta. Bez wątplenia urbaniści szlochali ze szczęścia nad projektem, który upychał trzysta trzydzieści sześć osób na hektarze powierzchni i jeszcze mógł poszczycić się placem zabaw dla dzieci. Z pewnością przy budowie Spector Street zbito niejedną fortunę i wielu pozyskało sławę, a na jego otwarciu mówiono, iż stanie się wzorcem, według którego wznoszone będą wszystkie przyszłe osiedla. Lecz planiści - wyplakawszy łzy, skończywszy przemowy - zostawili osiedle samemu sobie; architekci mieszkali w odrestaurowanych gregoriańskich kamienicach po drugiej stronie miasta i pewnie nigdy nie postawili tutaj stopy.

A nawet gdyby tak się stało, nie popsułoby im samopoczucia zdewastowanie osiedla. Ich dzieło (mieli prawo argumentować) było równie piękne, co zwykle: kształty niezrównanie dokładne, proporcje doskonale wyliczone. To ludzie zniszczyli Spector Street. Co do tego nie było dwóch zdań. Helen rzadko widywała w mieście równie doszczętnie zdewastowane miejsca. Lampy zostały potłuczone, a parkany ogródków leżały na ziemi. Samochody - z których uprzednio usunięto silniki i koła, a następnie spalono nadwozia - stały blokując wjazdy do garaży. W jednym z podwórek trzy czy cztery mieszkania na parterze strawił doszczętnie ogień, a ich okna i drzwi zabito deskami oraz pogiętymi, metalowymi okiennicami.

Jednak dużo bardziej intrygujące były graffiti. Właśnie aby je obejrzeć Helen przyszła tutaj, zachęcona opowieścią Archiego i - trzeba przyznać - nie czuła się rozczarowana. Trudno było uwierzyć, oglądając całe mnóstwo różnorodnych rysunków, imion, przekleństw i haseł, które wyskrobano i wymalowano szprejem na każdej dostępnej cegle, iż Spector Street liczy sobie zaledwie trzy i pół roku. Ściany, swego czasu tak dziewicze, teraz były niemiłosiernie pobazgrane, tak, że Miejskie Przedsiębiorstwo Oczyszczania nie mogło nawet marzyć o doprowadzeniu ich do pierwotnego stanu. Warstwa wapna, która miałaby pokryć tę kakofonię obrazów, dostarczyłaby jedynie „pisarzom” świeżego i daleko bardziej nęcącego podłoża dla zaznaczenia swojej obecności.

Helen była w siódmym niebie. W którąkolwiek stronę by się obróciła, wszędzie widać było nowe materiały do jej pracy dyplomowej: „Graffiti - symptomy miejskiej rozpacz”. Był to problem, który łączył oba jej najbardziej ulubione przedmioty - socjologię i estetykę. Spacerując po osiedlu, zaczęła się zastanawiać, czy z tego zagadnienia, obok pracy, magisterskiej, nie powstanie również książka. Chodziła od podwórka do podwórka, zapisując

całe mnóstwo co bardziej interesujących bazgrołów i notując ich położenie. Następnie cofnęła się do samochodu po aparat oraz statyw i wróciła w najciekawsze miejsca, aby sporządzić fotograficzną dokumentację ścian.

Zajęcie przyprawiało o dreszcze. Nie była profesjonalnym fotografem, a po późnopaździernikowym niebie chmury pędziły w najlepsze, nieustannie zmieniając natężenie światła padającego na cegły. Podczas gdy mordowała się z ustawieniem właściwego czasu naświetlania, aby skompensować ciągle zmiany oświetlenia, jej palce stawały się coraz sztywniejsze, cierpliwość coraz to mniejsza. Lecz nie poddawała się mimo wszystko, pchana próżną ciekawością przechodnia. Tyle jeszcze zostało do utrwalenia. Przypominała sobie ciągle, że obecne niewygody zwrócą się z nawiązką, kiedy pokaże zdjęcia Trevorowi, którego sceptycyzm co do sensowności projektu widoczny był doskonale od samego początku.

- Napisy na ścianach? - powtórzył uśmiechając się półgębkiem, w ten swój irytujący sposób. - To już było setki razy.

Oczywiście to prawda, jakkolwiek nie do końca. Rzecz jasna na temat graffiti napisano uczone dzieła nafaszerowane socjologicznym żargonem w stylu: „urbanistyczna alienacja” czy „kulturalna dyskryminacja”. Lecz Helen pochlebiała sobie, iż odnajdzie wśród tych bazgrołów coś, co umknęło uwadze poprzednich badaczy: może jakąś prawidłowość, której mogłaby użyć jako osi dla swej pracy. Jedynie energiczne katalogowanie i porównywanie zwrotów oraz rysunków mogło ujawnić taką zależność. I stąd właśnie waga tych fotografii. Tyle rąk odcisnęło tu swe piętno; tyle umysłów pozostawiło tu swe, niejednokrotnie banalne, znaki. Gdyby potrafiła odnaleźć jakiś wzorzec, jakiś dominujący motyw, praca spotkałaby się z prawdziwym zainteresowaniem. A tym samym i jej autorka.

- Co robisz? - spytał głos dobiegający zza pleców. Obróciwszy się, porzucając spekulacje, ujrzała młodą kobietę z wózkami stojącym na chodniku za nią. Wygląda na zmęczoną - pomyślała Helen i zatrzęsła się z zimna. Dziecko w spacerówce płakało cicho, brudnymi palcami ściskając kurczowo pomarańczowego lizaka i rozpakowaną tabliczkę czekolady. Brązowa masa i resztki galaretek znaczyły przód jego kurteczki.

Helen posłała kobiecie wątyły uśmiech; tamta wyglądała, jakby bardzo go potrzebowała.

- Fotografuję ściany - odparła, jakkolwiek było z pewnością całkiem oczywiste co robi.

Kobieta - może mieć najwyżej dwudziestkę, zawyrokowała Helen - zapytała: - To znaczy te świństwa?

- Napisy i rysunki - wyjaśniła Helen. A potem dodała - tak, te świństwa.

- Jesteś z zarządu osiedla?

- Nie, z uniwersytetu.

- Okropność - rzekła kobieta. - Sposób w jaki to robią, I to nie tylko dzieciaki.

- Nie?

- Dorośli faceci. Dorośli też. Gówna ich wszystko obchodzi. Robią to w biały dzień.

Można ich zobaczyć... w biały dzień.

Spojrzała na dziecko, które ostrzyło swego lizaka o ziemię. -Kerry ! - upomniała go, lecz chłopczyk nie zwracał na nią uwagi.

- Chcą to wszystko zamalować? - spytała.

- Nie mam pojęcia - odparła Helen i wyjaśniła ponownie: -Jestem z uniwersytetu.

- Och! - zdziwiła się kobieta, jak gdyby usłyszała coś nowego.

- Więc nie masz nic wspólnego z Zarządem ?

- Nie.

- Niektóre są wulgarne, co? Naprawdę okropne. Gdy na nie patrzę, czuję się zakłopotana.

Helen potaknęła, rzucając okiem na chłopczyka w spacerówce. Kerry postanowił przezornie włożyć sobie lizaka do ucha.

- Przestań! - rozkazała matka i pochyliła się, aby dać mu po łapkach. Klaps, w istocie bezbolesny, pobudził dzieciaka do płaczu. Helen skorzystała z okazji i zajęła się na powrót zdjęciami. Jednak kobieta nadal miała ochotę na pogawędkę.

- Można się na nie natknąć nie tylko na zewnątrz - powiedziała.

- Przepraszam? - spytała Helen.

- Włamują się do pustych mieszkań. Zarząd próbował je jakoś zabezpieczyć, ale nic z tego nie wyszło. Włamują się i tak. Używają ich jako toalet i wypisują te świństwa na ścianach. Rozpalają również ogniska. Potem nikt już nie może się do takiego mieszkania wprowadzić.

Opis pobudził ciekawość Helen. Czy graffiti na wewnętrznych ścianach różnią się zasadniczo od tych tutaj? Zagadnienie było na pewno warte sprawdzenia.

- Znasz takie miejsca gdzieś tu w pobliżu?

- To znaczy puste mieszkania?

- Z graffiti.

- Zaraz koło nas jest jedno czy dwa - przypomniała sobie kobieta. - Mieszkam na Butfs Court.

- Może mogłabyś mi je pokazać? - spytała Helen. Kobieta wzruszyła ramionami. - A tak w ogóle nazywam się Helen Buchanan.

- Anne-Marie - zrewanżowała się tamta.

- Byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś mogła zaprowadzić mnie do jednego z tych pustych mieszkań.

Anne-Marie była nieco zbita z tropu entuzjazmem Helen i wcale nie usiłowała tego kryć. Ponownie wzruszyła ramionami i powiedziała: - Nie ma tam zbyt wiele do oglądania. Po prostu jeszcze trochę takich samych bazgrołów.

Helen zebrała swój sprzęt i ruszyły razem, ramię w ramię, przez skrzyżowanie dzielące dwa sąsiednie skwery. Choć osiedle było niskie - budynki liczyły najwyżej pięć pięter - wszystkie bloki razem wzięte sprawiały upiorne, klaustrofobiczne wrażenie. Uliczki i klatki schodowe stanowiły marzenie każdego bandyty: mnóstwo ślepych zaułków i kiepsko oświetlonych alejek. Zsypy na śmieci - kominy, do których mieszkańcy górnych pięter mogą wrzucać torby z odpadkami - dawno już zostały zabetonowane, z uwagi na łatwość z jaką wzniecał się w nich ogień. Teraz plastikowe torby ze śmieciami piętrzyły się na uliczkach. Wiele rozdartych zostało przez bezpańskie psy, a zawartość rozrzucona po ziemi. Zapach, mimo chłodnej pory, był bardzo nieprzyjemny. W środku lata musi być nie do wytrzymania.

- Mieszkam tam po drugiej stronie - wyjaśniła Anne-Marie, wskazując na jedno z mieszkań. - To tamto z żółtymi drzwiami. - Potem pokazała przeciwną stronę podwórza. - Piąte albo szóste mieszkanie od końca - wyjaśniła. - Dwa z nich zwolniły się. Będzie już parę ładnych tygodni. Jedna z rodzin przeprowadziła się na Ruskin Court; druga czmychnęła w środku nocy.

To rzekłszy obróciła się plecami do Helen i pchnęła chodnikiem wokół skweru wózek z Kerryem, który właśnie pochłonięty był zlizywaniem śliny z lizaka.

- Dziękuję - zawołała za nią Helen. Anne-Marie obróciła się na chwilę, lecz nie odpowiedziała. Z rosnącym zaciekawieniem, Helen ruszyła wzdłuż rzędu położonych na parterze mieszkańek. Wiele, choć zamieszkanym, wcale nie sprawiało takiego wrażenia. Zasłony w oknach były szczelnie zaciągnięte. Na schodkach nie stały butelki po mleku, nie było też zabawek porzuconych w pośpiechu przez dzieci. Właściwie żadnych śladów życia. Graffiti było jednak więcej i, co szokujące, zostały powypisywane szprejem na drzwiach zajętych mieszkań. Poświęciła im tylko przelotne spojrzenie. Po części dlatego, iż obawiała się, aby któreś z drzwi nie otworzyły się kiedy ona będzie oglądała obsceniczne rysunki. Główną jednak przyczyną pośpiechu była chęć ujżenia, co za rewelacje mogły kryć się w tamtych pustych mieszkaniach.

Na progu numeru czternastego powitał ją przykry odór uryny - zarówno tej świeżej jak i nieco zastalej - pod którym wyczuć było można zapach spalonej farby i plastiku. Wahala się przez pełne dziesięć sekund, rozważając czy wejście do mieszkania będzie rozsądnym posunięciem. Osiedle za jej plecami stanowiło niezaprzeczalnie obce terytorium, tkwiące samotnie we własnym nieszczęściu. Pomieszczenia, które leżały przed nią, były dwakroć straszniejsze: mroczny labirynt, z trudem dający się przeniknąć wzrokiem. Lecz gdy odwaga zawiodła, pomyślała o Trevorze. I o tym jaką cholerną przyjemnością byłoby uciszyć jego protekcyjny ton. Z tą myślą ruszyła do środka, uprzednio ostrożnie kopnąwszy zwęglony kawałek drewna, w nadziei na spłoszenie ewentualnego lokatora. Jednak z wnętrza nie

dobiegł najmniejszy dźwięk, świadczący o czyjejs obecności. Nabrawszy nieco pewności siebie, zaczęła badać pierwsze pomieszczenie, które - sądząc po resztkach wypatroszonej sofy stojącej w narożniku i po zbutwiałym dywanie pod stopami - było niegdyś living-roomem. Bładozielone ściany - zgodnie z zapowiedzią Anne-Marie - były solidnie pobazgrane zarówno przez pomniejszych grafomanów (zadowolających się pisaniem długopisem albo co najwyżej węglem drzewnym) jak i przez tych z większymi aspiracjami, zamalowujących ściany pół tuzinem kolorów.

Niektóre teksty mocno ją zainteresowały, lecz wiele widziała już na zewnętrznych ścianach. Nieustannie powtarzały się te same imiona i zwroty. Choć nigdy w życiu nie widziała tych ludzi, doskonale wiedziała z jak wielką ochotą Fabian J. zrypałby Michelle, zaś z kolei owa Michelle miała chętkę na kogoś o imieniu Mr. Sheen. Facet zwany Białym Szczurem nie po raz pierwszy chęłpił się swoim przyrodzeniem, a Koktailowi Braciszkwowie na czerwono zapowiadali swój powrót. Jeden albo dwa rysunki towarzyszące czy może jedynie sąsiadujące z napisami były szczególnie interesujące. Obok słowa Christos widniał chudy człowieczek z włosami sterzącymi z głowy niczym druty, a na każdy taki drut wbita była następna głowa. Zaraz obok znajdował się obraz stosunku płciowego tak brutalnie okrojonego, iż zrazu Helen wzięła go za wizerunek noża wbijanego w ślepe oko. Lecz, mimo że była zafascynowana rysunkami, nie mogła robić zdjęć w tym pomieszczeniu, gdyż jej film miał zbyt małą czułość, a lampy błyskowej nie zabrała. Chcąc mieć wiarygodny zapis swych odkryć, musiałaby przyjść tu ponownie. Na razie musiała zadowolić się zwykłym obejrzeniem lokalu.

Mieszkanie nie było zbyt duże, lecz okna zostały szczelnie zabite. Im bardziej oddalała się od drzwi, tym bledsze stawało się światło. Odór uryny, który już na progu był uciążliwy, przybrał wyraźnie na sile. Gdy wreszcie dotarła do przeciwległej ściany living-roomu i przez krótki korytarzyk wkroczyła do następnego pomieszczenia, stał się wszechobecny i nie do zniesienia. Ów pokój, leżąc najdalej od frontowych drzwi, był tym samym najciemniejszy. Musiała odczekać parę chwil w onieśmiałającym mroku, aż jej oczy na powrót staną się użyteczne. Pokój, jej zdaniem, mógł być niegdyś sypialnią. Tych kilka mebli, które byli właściciele zdecydowali się porzucić, dosłownie porąbano na kawałki. Jedynie materac ostał się we względnie nienaruszonym stanie, rzucony w kąt pokoju pomiędzy zbutwiałe strzępy koców, gazet i okruchy szkła.

Na zewnątrz słońce odnalazło lukę wśród chmur i dwa albo trzy promyki prześlizgnęły się między deskami osłaniającymi sypialniane okno. Niczym jakieś sygnały, znaczyły przeciwległą ścianę jasnymi smugami. Tu również widniały graffiti: zwyczajna wrzawa wyznań miłosnych i pogróżek. Szybko przebiegła wzrokiem tę ścianę, a potem - idąc za promieniami światła - jej oczy spoczęły na ścianie z drzwiami.

I tu także pracowali artyści, lecz ich dziełem był rysunek jakiego nie widziała nigdzie przedtem. Wykorzystując drzwi, których centralne położenie upodobiło je do ust, namalowali na odlatującym tynku pojedynczą olbrzymią głowę. Malowidło było dużo bardziej pomysłowe od wszystkich, jakie zdążyła dotąd obejrzeć. Mnogość szczegółów sprawiała, iż obraz tchnął ulotną rzeczywistością. Wystające kości policzkowe opięte skórą koloru maślanki, zęby zaostrome w krzywe szpileczki, wymalowane w całości na drzwiach. Oczy, z powodu niskiego sufitu, znajdowały się zaledwie parę cali ponad górną wargą. Ta techniczna niedogodność jedynie przydała wizerunkowi wyrazu, sprawiając wrażenie jak gdyby postać odchyliła głowę nieco do tyłu. Poskręcane strąki włosów rozbiegały się po całym suficie.

Czy to portret? Wizerunek miał coś specyficznego w szczegółach brwi oraz bruzdach wokół rozwartych ust; w ostrożnym rysunku dziwacznych zębów. To pewnie jakiś koszmar: - podobizna z narkotycznego odurzenia. Nieważne jakie było pochodzenie tego malowidła - niezaprzeczalnie oddziaływało na psychikę. Autorom powiódł się nawet efekt zastąpienia ust drzwiami. Krótki korytarzyk między living-roomem a sypialnią całkiem znośnie udawał gardło z potrząskaną lampą zamiast migdałków. Za przełykiem, w koszmarowym żołądku, biało żarzył się dzień. Całość przywodziła na myśl rysunki z wesoło miasteczkowego pociągu śmierci. Te same potworne zniekształcenia, ta sama bezwstydną chęć straszenia. I rzeczywiście udało im się. Helen stała w sypialni kompletnie oszołomiona widokiem malowidła, bezlitośnie przyciągana jego obwiedzionymi na czerwono oczyma. Jutro wróci tu

ponownie, zdecydowała, tym razem z bardzo czułym filmem i lampą błyskową, aby utrwalić to dzieło.

Gdy szykowała się już, aby wyjść, do środka zajrzało słońce i zaraz potem znikły jasne smugi światła. Rzuciła okiem na zabite deskami okno i po raz pierwszy spostrzegła wymalowaną ponad nim trójwyrazową sentencję. „Słodkości dla słodkiej” - brzmiał napis. Znała ten cytat, lecz nie pamiętała skąd pochodzi. Czy było to wyznanie miłości? Jeśli tak, to ktoś wybrał dziwne miejsce na takie rzeczy. Pomimo materaca leżącego w kącie i względnego spokoju, nie mogła sobie wyobrazić, aby jakiś narzeczony, po przeczytaniu tych słów, przyprowadził tu swą wybrankę, pragnąc podziwiać jej wdzięki. Żadni nastoletni kochankowie, nawet nie wiadomo jak rozochoceni, nie położyliby się tutaj dla zabawy w tatę i mamę. Nie pod badawczym wzrokiem potwora spozierającego ze ściany. Podeszła bliżej, by lepiej przyjrzeć się napisowi. Farba miała wyraźnie ten sam odcień różu co ta, którą namalowano dziąsła krzyczącego mężczyzny. Czyżby ta sama dłoń?

Usłyszała rumor za plecami. Obróciła się tak gwałtownie, iż nieomal upadła na przykryty kocami materac.

- Kto...

Po drugiej stronie gardzieli, w living-roomie, stał sześcio - albo siedmioletni chłopiec z okropnie poharatanymi kolanami. Patrzył na Helen błyszczącymi w półmroku oczyma jak gdyby oczekując zachęty.

- Tak? - zapytała.

- Anne-Marie pyta czy nie chciałaby pani filiżanki herbaty? - wyrecytował jednym tchem zupełnie bez intonacji.

Rozmowa z tamtą kobietą wydawała się Helen odległa o wiele godzin. Była jednak wdzięczna za zaproszenie. Wilgoć panująca w mieszkaniu mocno ją wyziębiła.

- Owszem... - odparła. - Bardzo chętnie.

Dziecko nie poruszyło się, lecz tylko uważnie ją obserwowało.

- Zaprowadzisz mnie? - spytała chłopczyka.

- Jeśli pani chce - odparł, nie mogąc wykrzesać z siebie ani krzty entuzjazmu.

- Chciałabym.

- Robi pani zdjęcia? - zapytał.

- Tak, robię. Ale nie tutaj.

- Dlaczego nie ?

- Bo tu jest za ciemno - wyjaśniła.

- Po ciemku nie można? - dopytywał się.

-Nie.

Chłopiec skinął głową, jak gdyby ta wiadomość w jakiś sposób pasowała do jego światopoglądu i - obróciwszy się bez słowa - wyraźnie czekał, aż Helen za nim ruszy.

Jeśli na ulicy Anne-Marie była małomówna, o tyle w zaciszu swej kuchenki stała się zupełnie innym człowiekiem. Zniknęła skrywana ciekawość, zastąpiona przez potok wesołego szczebiotania i nieustanną krzątaninę wokół dziesiątek najróżniejszych domowych obowiązków. Gospodyni wyglądała niczym cyrkowiec żonglujący kilkunastoma talerzami naraz. Helen obserwowała te wyczyny z pewną dozą podziwu - sama była w tej roli raczej żalosna. W końcu pogawędka zesłała na sprawę, która ją tutaj przywiodła.

- Te fotografie - spytała Anne-Marie. - Po co je robisz?

- Piszę na temat graffiti. Zdjęcia będą ilustracjami do mojej pracy.

- Nie są zbyt ładne.

- Nie, masz rację, nie są, Ale interesują mnie. Anne-Marie pokręciła głową

- Nie cierpię tego osiedla - oświadczyła. - Nie można czuć się tutaj bezpiecznie.

Ludzie są obrabowywani przed własnymi domami. Dzieciaki codziennie podkładają ogień w śmietnikach. Zeszłego lata dwa, trzy razy dziennie mieliśmy tu straż pożarną, aż w końcu zabetonowali zsypy. Teraz ludzie wywalają torby z odpadkami prosto na ulicę, a to przyciąga szczury.

- Mieszkasz tu sama?

- Tak - odparła - odkąd odszedł Davey.

- Twój mąż?

- Był ojcem Kerry'ego, ale nigdy nie wzięliśmy ślubu. Byliśmy ze sobą dwa lata. Przeżyliśmy razem parę niezapomnianych chwil. Aż w końcu któregoś dnia, kiedy byłam z Kerryem u mamy, spakował się i odszedł - wyjaśniła zaglądając do filiżanki z herbatą -  
Lepiej mi bez niego - wyznała po chwili. - Jedyne czasami człowiek się trochę boi. Chcesz jeszcze herbaty?

- Nie mam za bardzo czasu.

- Tylko filiżaneczkę - poprosiła Anne-Marie, błyskawicznie zerwawszy się, podkładając pod kran pusty czajnik, aby go ponownie napełnić. Gdy miała już odkręcić kurek, spostrzegła coś na suszarce do naczyń i zgmiotła to kciukiem.

- Należało ci się, skurwielu - oświadczyła i obróciła się do Helen. - Mamy tu inwazję cholernych mrówek.

-Mrówek?

- Całe osiedle jest już opanowane. Przybyły z Egiptu, nazywają-je mrówkami faraona. Małe, brązowe skurwysyny. Rozmnażają się w przewodach centralnego ogrzewania i tamtędy przenikają do wszystkich mieszkań. Mamy tu istną plagę.

Pomysł z mrówkami z Egiptu wydał się Helen nieco śmieszny, lecz powstrzymała się od komentarza. Anne-Marie spoglądała przez kuchenne okno na podwórze.

- Musisz im powiedzieć - rzekła, choć Helen nie była pewna komu miałaby cokolwiek mówić. - Powiedz im, że zwykli ludzie nie mogą już nawet chodzić po ulicach...

- Naprawdę jest aż tak źle? - spytała Helen, porządnie zmęczona tym szeregiem nieszczęść.

Anne-Marie odwróciła się od zlewu i spojrzała na nią ciężkim wzrokiem.

- Mieliśmy tu już morderstwa - powiedziała.

- Naprawdę?

- Jedno nawet tego lata. Staruszek z Ruskin. To tuż obok. Nie znałam go, ale był przyjacielem siostry kobiety z naprzeciwka. Zapomniałam jak się nazywał.

- I zamordowano go?

- Porąbano na kawałki we własnym mieszkaniu. Znaleźli jego zwłoki prawie po tygodniu.

- A co z sąsiadami? Nie zauważyli jego nieobecności? Anne-Marie wzruszyła ramionami, jak gdyby najważniejsze informacje - morderstwo i izolacja denata - zostały już powiedziane, a dalsze wypytywanie było nie na miejscu. Lecz Helen nie dawała za wygraną,

- Wydaje mi się to dziwne - oświadczyła. Anne-Marie zatkała gwizdkiem napełniony już czajnik.

- Cóż, a jednak tak było - odparła zdecydowanie.

- Wcale nie twierdzę, że nie, ale po prostu...

- Miał wydłubane oczy - dodała, nim Helen zdążyła przedstawić kolejne wątpliwości.

Twarz Helen pokrył grymas bólu.

- Nie - wyszeptała.

- To szczerą prawdą - zapewniła Anne-Marie. - A i tak to jeszcze nie wszystko co mu zrobili. - Urwała dla większego efektu, a potem ciągnęła dalej - Wyobrażasz sobie, co za ludzie mogą robić takie rzeczy, nie? Wyobrażasz sobie? - Helen potaknęła. Myślała dokładnie o tym samym.

- Znaleźli winowajcę? Anne-Marie parsknęła lekceważąco:

- Policję gównie obchodzi, co się tu dzieje. Unikają tego osiedla jak tylko mogą. Na patrolach zwijają dzieciaki za pijaństwo czy takie rzeczy i na tym koniec. Bo widzisz, oni się boją. To dlatego trzymają się z daleka.

- Tego mordercy?

- Może - odparła Anne-Marie. A po chwili dodała - On miał hak.

- Hak?

- Facet, który to zrobił. Miał hak, tak jak Kuba Rozpruwacz.

Helen nie była ekspertem w dziedzinie zabójstw, ale wiedziała, iż Rozpruwacz nie używał haka. Byłoby wszakże grubiaństwem kwestionować prawdziwość opowieści Anne-Marie. Jednak w duchu Helen zastanawiała się, ile z tego - wydłubane oczy, ciało porąbane

w mieszkaniu, hak - było dodane od siebie. Nawet najbardziej skrupulatny dziennikarz nie zawsze oprze się chęci upiększenia zasłyszanej historii.

Anne-Marie naląła sobie kolejną porcję herbaty i szykowała się, aby napełnić również filiżankę gościa.

- Nie, dziękuję, - uprzedziła ją Helen. - Naprawdę powinnam już iść.

- Masz męża? - spytała nagle Anne-Marie.

- Tak. Jest wykładowcą na uniwersytecie.

- Jak mu na imię?

- Trevor.

Anne-Marie wsypała dwie czubate łyżeczki cukru do herbaty.

- Wrócisz tu jeszcze? - spytała.

- Tak, mam nadzieję. Pod koniec tygodnia. Chcę zrobić parę zdjęć w mieszkaniu po drugiej stronie.

- Wpadnij przechodząc.

- Na pewno. I dziękuję za pomoc.

- Nie ma za co - odparła Anne-Marie. - Powiesz komu trzeba, prawda?

\*

- Wygląda na to, że morderca zamiast ręki miał umocowany hak.

Trevor uniósł wzrok znad talerza tagliatelle con prosciutto. - Słucham?

Helen nie mało trudu kosztowało powtórzenie tej historii bez nadawania jej osobistego nastawienia. Interesowało ją, jak zareaguje Trevor, a wiedziała, że gdy tylko zasygnalizuje swoje stanowisko,

to on instynktownie przyjmie przeciwny punkt widzenia z czystej przekory.

- On miał hak - powtórzyła całkiem bez zaangażowania. Trevor odłożył widelec i podrapał się po nosie, głośno nim pociągając. - Nic na ten temat nie czytałem - stwierdził.

- Nie czytujesz lokalnej prasy - odparła. - Żadne z nas tego nie robi. Może w ogóle nikt już jej nie czyta.

- Starzec Zamordowany przez Hakorękiego Maniaka? - rzekł Trevor, delektując się swoimi słowami. - Będę musiał bliżej się tym zająć. Kiedy to rzekomo się wydarzyło?

- Zeszłego lata. Może byliśmy wtedy w Irlandii.

- Może - zgodził się Trevor, znów biorąc do ręki widelec. Gdy pochylił się nad posiłkiem, w wypolerowanych szklach jego okularów miast oczu widać było jedynie odbity obraz talerza klusek i posiekanej w kostkę szynki.

- Dlaczego mówisz „rzekomo”?

- Nie brzmi to wszystko zbyt przekonująco - odparł. - Właściwie brzmi cholernie niedorzecznie.

- Nie wierzysz w tę historię? - spytała Helen.

Trevor uniósł wzrok znad talerza, językiem zlizując z kącika ust kawałek tagliatelli. Jego twarz przybrała ów dobrze znany, sceptyczny wyraz. Bez wątpienia tę samą minę serwował egzaminowanym studentom.

- A ty w nią wierzysz? - zapytał Helen. To był jego ukochany sposób grania na czas, kolejna sesyjna sztuczka, aby spytać pytającego.

- Nie jestem pewna - odrzekła Helen, zbyt pochłonięta poszukiwaniem oparcia w tym bezmiarze domysłów, aby tracić energię na słowne przepychanki.

- W porządku, spróbujmy z innej beczki - powiedział Trevor porzucając talerz na rzecz kolejnego kieliszka czerwonego wina.

- A co z tą, od której się o tym wszystkim dowiedziałaś. Wierzysz jej?

Helen pamiętała przejętą minę Anne-Marie, kiedy ta opowiadała o zabójstwie starca.

- Tak - stwierdziła. - Tak, sądzę, że zorientowałabym się, gdyby mnie oszukiwała.

- W takim razie dlaczego w ogóle to jest takie istotne? To znaczy, co to za cholerna różnica czy kłamie, czy też nie?

Było to rzeczywiście rozsądne pytanie, choć dość obcesowo postawione. Co to za różnica? Czy chciała wykazać błędność swych sądów o Spector Street? Że nie jest wcale brudne, pozbawione wszelkiej nadziei, że nie stanowi śmietniska, na które usunięto z publicznego widoku wszystkich ułomnych i niewygodnych? Wszystko to było w końcu

powszechnie znane i Helen zaakceptowała całość jako smutną rzeczywistość. Lecz zamordowanie i Okaleczenie staruszka było czymś innym. Raz zapamiętany obraz straszliwej śmierci nie chciał już zniknąć.

Z pewnym niepokojem spostrzegła, iż jej zakłopotanie wyraźnie odbiło się na twarzy i że Trevor, obserwujący ją z drugiego końca stołu, nieźle się bawił.

- Skoro tak bardzo cię poruszyła ta sprawa - powiedział - to dlaczego nie pójdziesz i nie zbadasz wszystkiego na miejscu, zamiast bawić się w zgaduj-zgadulę przy obiedzie?

Nie pozostało jej nic, jak tylko odeprzeć atak. - Myślałam, że lubisz takie gdybanie - rzekła.

Rzucił jej ponure spojrzenie.

- I znowu błąd - stwierdził.

\*

Propozycja prywatnego śledztwa nie była zła, lecz wątpliwe, aby przedstawił ją w dobrej intencji. Z dnia na dzień dostrzegła w Trevorze coraz mniej życzliwości. To, co niegdyś brała za płomienne oddanie się dyskusji, teraz rozpoznawała jako zwyczajną słowną potyczkę. Rozmawiał nie po to, by przedstawić obiektywne argumenty, lecz by zaspokoić patologiczną żądzę wygrywania. Nie raz widywała jak brał stronę, której racji nie podzielał, tylko po to, by ożywić dyskusję. Co gorsza, nie był w tym osamotniony. Akademia stanowiła jedną z ostatnich twierdz zawodowego wodolejstwa. Nieraz środowisko to sprawiało wrażenie opanowanego przez wykształconych głupców, błędzących po manowcach zatęchłej retoryki i czczych dysput.

Z jednych manowców na następne. Na Spector Street wróciła następnego dnia, uzbrojona w lampę błyskową, statyw i bardzo czuły film. Wiatr tego dnia był silny, arktyczny, a złapany, w pułapkę uliczek i zaułków dawał się we znaki ze zdwojoną siłą. Poszła prosto pod numer 14 i spędziła w jego oszałamiającym wnętrzu następną godzinę, fotografując ściany zarówno w sypialni jak i w living-roomie. Podświadomie oczekiwała, iż za drugim razem twarz w sypialni straci na sugestywności. Pomyliła się. Mimo, iż z całych sił chciała uchwycić skalę i wszystkie szczegóły rysunku, dobrze wiedziała, że zdjęcia w najlepszym przypadku będą tylko słabym echem oryginału.

Jasne, że wiele z jego siły zawarte było w aurze samego miejsca. Natknąć się na podobny rysunek w tak przeciętnym otoczeniu, to jak znaleźć ikonę na wysypisku śmieci. Jaskrawy symbol przeniesienia ze świata rozkładu i znoju w jeszcze mroczniejsze, lecz dużo potężniejsze królestwo. Władza językiem dokładnym, nafaszerowanym długimi wyrazami i akademicką terminologią, lecz boleśnie nieprzekonywującym, gdy chodzi o opisy. Fotografie, choć pewnie niewyraźne, będą w stanie - żywiła taką nadzieję - oddać choć w części sugestywność malowidła, nawet jeśli pozbawią je mocy przerażania.

Gdy wyszła wreszcie z mieszkania, wiatr dął z dawną zajadłością, lecz czekający na zewnątrz chłopiec - ten sam co wczoraj - ubrany był całkiem wiosennie. Kulił się, usiłując powstrzymać dreszcze.

- Cześć - przywitała się Helen.

- Czekalem - oznajmił.

- Czekales?

- Anne-Marie powiedziała, że wrócisz.

- Nie miałam zamiaru przyjść tu prędzej niż pod koniec tygodnia - odparła Helen. - Mogłeś długo czekać. Grymas na twarzy chłopca zelżał odrobinę.

- To nic - oświadczył. - Nie mam nic do roboty.

- A jak tam szkoła?

- Nie przepadam za szkoła. - odrzekł, jak gdyby nauka zależała od jego upodobań.

- Rozumiem - stwierdziła Helen i ruszyła skrajem placyku. Chłopiec poszedł za nią. Na kępie trawy, pośrodku skwerku złożono stertę krzesel i martwych drzewek.

- Co to jest? - powiedziała na wpół do siebie.

- Palenie śmieci - poinformował chłopiec. - W przyszłym tygodniu.

- A... jasne.

- Idziesz zobaczyć się z Anne-Marie?



- Tak.
- Nie ma jej w domu.
- Och. Jesteś pewien?
- Na sto procent.
- No to może ty mógłbyś mi pomóc... - urwała i obróciła się twarzą do dziecka.

Chłopiec miał oczy lekko podkrążone ze zmęczenia. - Słyszałam o staruszku zamordowanym gdzieś tu w okolicy - oświadczyła. - Latem. Wiesz coś o tym?

- Nie.
- Absolutnie nic? Nie słyszałeś o żadnym zabójstwie?
- Nie - powtórzył chłopak, chcąc wyraźnie zakończyć dyskusję. - Nie słyszałem.
- Cóż, mimo wszystko dziękuję.

Tym razem, gdy wracała do samochodu, chłopiec za nią nie poszedł. Lecz, kiedy skręcając na rogu w boczną uliczkę obróciła się przez ramię, spostrzegła, że nadal stoi na dawnym miejscu i obserwuje ją, jakby była pomyłona.

Gdy dotarła wreszcie do samochodu i wsadziła sprzęt fotograficzny do bagażnika, w powietrzu pojawiły się pierwsze kropelki deszczu. Miała straszną ochotę, aby zapomnieć o całej sprawie i jechać prosto do domu, gdzie czekała ją gorąca kawa i niestety dużo chłodniejsze powitanie. Lecz musiała zdobyć odpowiedź na pytanie Trevora z ubiegłej nocy. „Wierzysz w tę historię?” - spytał, kiedy streściła mu opowieść. Nie wiedziała wtedy co na to rzec, a teraz sytuacja niewiele się poprawiła. A może, jak to wyczuwała, określenie „prawda ostateczna” było tu nie na miejscu? Może odpowiedzią na jego pytanie nie była wcale odpowiedź, lecz następne pytanie? Jeśli tak, to cóż: musi je znaleźć.

Ruskin Court był równie zapuszczony jak sąsiednie podwórka, a może nawet bardziej. Nie mógł poszczycić się nawet ogniskiem. Z balkonu na trzecim piętrze jakaś kobieta ściągała pranie, spiesząc się nim spadnie deszcz. Na skwerku pośrodku placzyku niemrawo kopolowała para psów; samiec wpatrywał się w poszarzałe niebo. Idąc pustym chodnikiem przyglądała się temu ostentacyjnie. Zdecydowane spojrzenie - powiedziała niegdyś Bemadette - powstrzymuje atak. Kiedy spostrzegła dwie kobiety rozmawiające po drugiej stronie placzyku, ruszyła ku nim pospiesznie, ucieszona nadarżającą się okazją,

- Przepraszam.

Kobiety, obie w średnim wieku, przerwały ożywioną dyskusję i uważnie zlustrowały ją wzrokiem.

- Czy mogłyby panie mi pomóc?

Wyczuła ich badawcze spojrzenia i nieufność; nie kryły się z tym. Jedna z nich, ta z rumianą, twarzą, spytała prosto z mostu.

- Czego pani chce?

Nagle Helen poczuła, że traci, całą śmiałość. Co miała powiedzieć tym dwóm, aby jej motywy nie wyglądały na niezdrowe zainteresowanie?

- Powiedziano mi... - zaczęła, lecz zaraz się zająknęła, zwątpiwszy w możliwość otrzymania pomocy od tych kobiet. - ...powiedziano mi, że gdzieś w pobliżu została popełniona zbrodnia. To prawda?

Rumiana kobieta uniosła brwi, tak wyskubane, że omal niewidoczne.

- Zbrodnia? - zdziwiła się.

- Pani jest z prasy? - spytała druga. Czas pozbawił jej twarz słodczy. Drobne usta miała mocno wcięte, włosy ufarbowane na czarno z półcalowym, siwym odrostem.

- Nie, nie jestem z prasy - odparła Helen. - Jestem przyjaciółką Anne-Marie z Butt's Court. - Słowo przyjaciółka nie było tu całkiem na miejscu, lecz zdawało się w pewien sposób zjednywać kobiety.

- W odwiedzin, co? - dopytywała się rumiana.

- Można tak powiedzieć...

- Przegapiłaś te kilka ciepłych dni...

- Anne-Marie opowiadała o kimś, kto został tu zamordowany latem. Zaciekało mnie to.

- Naprawdę?

- Wiedzą panie coś o tym?

- Tu dzieje się dużo rzeczy - odezwała się druga kobieta. Trudno poznać nawet połowę.

- A więc jednak mówiła prawdę - szepnęła Helen.

- Musieli zamknąć ubikacje - wtrąciła pierwsza.

- Prawda. Musieli. - potwierdziła druga.

- Ubikacje? - zdziwiła się Helen. Co to miało wspólnego ze śmiercią starszka?

- To było straszne - ciągnęła pierwsza z nich. - Czy to twój Frank, Josie, o wszystkim ci opowiedział?

- Nie, nie Frank - odrzekła Josie. - Frank był wtedy na morzu. To była pani Tyzack.

Josie poświadczywszy, zostawiła dokończenie opowieści koleżance, a sama zwróciła oczy na Helen. Podejrzliwość nie do końca jeszcze wygasła w jej spojrzeniu.

- Było to jakieś dwa miesiące temu - dodała Josie. - Zaraz pod koniec czerwca.

Dobrze mówię, że w czerwcu, prawda? - Spojrzała pytająco na drugą kobietę. - Ty masz głowę do dat, Maureen.

Maureen czuła się jakoś skrępowana.

- Zapomniałam - rzekła, wyraźnie nie chcąc o tym mówić.

- Interesuje mnie ta sprawa - powiedziała Helen. Josie, mimo niechęci przyjaciółki, była skłonniejsza do pomocy.

- Jest tam parę szaletów przed sklepami - wyjaśniła. - No wiesz, publiczne sanitariaty. Nie wiem jak to się wszystko dokładnie wydarzyło, ale bywał tam często chłopiec... no może nie był całkiem chłopcem. To znaczy miał dwudziestkę albo i więcej, ale był - szukała właściwego określenia - umysłowo niedorozwinięty, można by rzec. Mama prowadziła go, jakby miał cztery latka. W każdym razie pozwalała mu chodzić do ubikacji kiedy sama szła do małego supermarketu. Jak on się nazywa? - Obróciła się do Maureen, oczekując podpowiedzi, lecz ta zareagowała wyraźną dezaprobatą Josie nie mogła jednak utrzymać języka na wodzy.

- Było wtedy jasno - ciągnęła. - Środek dnia. W każdym bądź razie chłopak wszedł do toalety, a matka zniknęła w sklepie. Już po chwili, znasz ten objaw, zajęta sprawunkami, zapomniała o chłopcu, aż w końcu wydało jej się, że coś długo go nie ma...

Tu dała o sobie znać Maureen, nie mogąc powstrzymać się już dłużej: „troska o rzetelność opowieści wzięła widocznie górę nad ostrożnością,

- Wdała się w sprzeczkę - poprawiła Josie - ze sprzedawcą, Poszło o kawałek zepsutego boczkę, który jej sprzedał. Dlatego wszystko tak długo trwało.

- Rozumiem - przytaknęła Helen.

- W każdym razie - rzekła Josie podejmując wątek - skończywszy zakupy wyszła na zewnątrz, a jego nadal nie było...

- Poprosiła więc kogoś z supermarketu... - zaczęła Maureen, ale Josie nie miała zamiaru dać odebrać sobie relacji w tak ważnym momencie.

- Porosiła jakiegoś faceta z supermarketu - powtórzyła za Maureen - aby zszedł do szaletu i odszukał jej syna.

- To było straszne - oznajmiła Maureen, jakby oczami duszy widziała tę scenę. - Leżał na posadzce w kałuży krwi.

- Zamordowany? Josie pokręciła głową,

- Śmierć byłaby dla niego wybawieniem. Został zaatakowany brzytwą- pozwoliła, aby ta wiadomość głęboko zapadła w umysł, nim zadała *coup de grace* - i odcięto mu intymne części. Po prostu je obcięli i spuścili w ubikacji. Absolutnie bez powodu.

-O mój Boże!

- Śmierć byłaby wybawieniem - powtórzyła Josie. - Chodzi o to, że po czymś takim nie byli w stanie nic mu dosztukować, co nie?

Wstrząsająca opowieść była jeszcze straszniejsza dzięki stoickiemu spokojowi kobiety i zdawkowemu powtarzaniu „śmierć byłaby wybawieniem”.

- A chłopak? - spytała Helen. - Czy potrafił opisać napastników? - Gdzie tam - odparła Josie. - On jest praktycznie imbecylem. Nie potrafi sklecić do kupy więcej niż dwóch wyrazów.

- Nikt nie widział kogoś wchodzącego do szaletu? Albo wychodzącego?

- Ludzie wchodzą tam i wychodzą na okrągło - odezwała się Maureen.

Choć brzmiało to jak wyjaśnienie, nie było jednak tym, czego oczekiwała Helen. Na placu i przylegających uliczkach nie było wielkiego ruchu, wręcz przeciwnie. Być może ciąg handlowy był bardziej oblegany - pomyślała - i zapewniał odpowiednią Ostonę dla takiej zbrodni.

- Więc nie znaleziono sprawcy? - upewniła się.

- Nie - odparła Josie, której oczy straciły poprzedni zapal. Przesłupstwo i jego bezpośrednie skutki stanowiły sedno opowieści, a mało co, albo nawet nic nie obchodził ją sprawca czyjego ujęcie.

- Nawet we własnym łóżku nie można czuć się bezpiecznie - zauważyła Maureen. - Spytaj kogo chcesz.

- To samo mówiła Anne-Marie - podchwyciła Helen. - Właśnie w ten sposób zgadałyśmy się o starcu. Według niej został zamordowany latem tu na Ruskin Court.

- Coś mi świta - rzekła Josie. - Słyszałam jakieś plotki. Stary człowiek i jego pies. Starca pobito na śmierć, a psa wykończono... nie pamiętam. Pewnie to nie było tutaj. Na jakimś innym osiedlu.

- Jest pani pewna?

Kobieta obruszyła się na ten brak zaufania do jej pamięci.

- Pewnie - stwierdziła. - Wiedziałybyśmy przecież, gdyby to się zdarzyło tutaj, no nie?

Helen podziękowała kobietom za pomoc, postanawiając jednak przejść się po okolicy. Ot tak, aby sprawdzić ile mieszkań stoi tu opuszczonych. Podobnie jak na Butt's Court, wiele zasłon było zaciągniętych, a wszystkie drzwi szczelnie pozamykane. Lecz skoro Spector Street zostało nawiedzone przez maniaka zdolnego mordować i okaleczać w tak potworny sposób, nie zaskoczyło jej, że mieszkańcy chowają się w swych domostwach. Nie było tu za wiele do oglądania. Wszystkie nie zajęte mieszkania i facjatki zostały niedawno zabezpieczone, sądząc po kupie gwoździ walających się na schodkach, przez robotników komunalnych. Jedna rzecz przykuła jednak jej uwagę. Nabazgrana na chodniku - i prawie już zamazana przez deszcze i ludzkie stopy - ta sama myśl, którą widziała w sypialni pod numerem 14. „Słodkości dla słodkiej”. Słowa były przecież tak życzliwe; dlaczego dopatrywała się w nich groźby? Może przez ich przedobrzenie, przez podświadomą niechęć do cukru w cukrze, miodu w miodzie?

Szła dalej, mimo narastającej ulewy, oddalając się od placu i wkraczając w betonową ziemię niczyją, której nie oglądała uprzednio. Tam znajdowało się - przynajmniej w projektach - centrum osiedla. Plac zabaw dla dzieci z powywracanymi huśtawkami, piaskownicą zapaskudzoną przez psy, wyschniętym brodzikiem. Znajdowały się tu również sklepy. Kilka stało zamkniętych; pozostałe były obskurne i nieatrakcyjne, z oknami zabezpieczonymi ciężką, drucianą siatką

Przeszła do końca tej uliczki, na rogu skręciła i stanęła przed przysadzistym, ceglany budynkiem. Publiczne sanitariaty - domyśliła się - choć symbole, oznaczające podobne miejsca, zniknęły. Stalowe drzwi były zamknięte na kłódkę. Gdy stała przed tym pozbawionym wszelkiego wdzięku budynkiem, porywy wiatru omiatały jej nogi i nie mogła nic poradzić, że zaczyna rozmyślać o tym, co się tu wydarzyło. O niedorozwiniętym mężczyźnie krwawiącym na posadzce i nie mogącym nawet wzywać pomocy. Te obrazy przyprawiły ją o mdłości. Przeszła myślami na zbrodniarza. Jak wyglądał, zastanowiła się, człowiek zdolny do takiego bestialstwa? Próbowwała go sobie wyobrazić, ale żaden wymyślony szczegół nie miał dostatecznej wyrazistości. Lecz przecież potwory rzadko bywają, przerażająco straszne po wyciągnięciu na światło dzienne. Dopóki ten człowiek znany był jedynie ze swych uczynków, sprawował niewypowiedzianą władzę nad wyobraźnią. Jednak prawda poprzedzona strachem, jak wiedziała, potrafi być gorzko rozczarowująca. Nie jest on może potworem, tylko jego bładą namiastką, bardziej wzbudzającą politowanie i odrazę niż strach.

Kolejny podmuch wiatru przyniósł ze sobą więcej deszczu. Nadszedł czas - zdecydowała - by skończyć tego dnia z przygodami. Obróciwszy się plecami do publicznych szaletów, ruszyła pospiesznie przez skwerki, aby ukryć się w samochodzie. Lodowaty deszcz dotkliwie chłostał jej twarz.

\*

Goście zaproszeni na obiad sprawiali wrażenie przyjemnie przestraszonych tą opowieścią, a Trevor - sądząc po jego twarzy - po prostu się wściekał. Było już jednak za późno, nie sposób cofnąć słów. Zresztą i tak nie mogłaby sobie odmówić przyjemności uciśnienia międzywydziałowego bełkotu przy obiedzie. Bemadette, asystentka Trevora w katedrze historii, przerwała głuchą ciszę.

- Kiedy to się wydarzyło?

- Latem - wyjaśniła Helen.

- Nie przypominam sobie, bym o tym czytał - odezwał się Archie, dużo sympatyczniejszy po dwóch godzinach popijania. Splątało mu to nieco język, który normalnie rozplýwał się w samo-zachwytach.

- Pewnie policja wyciszyła sprawę - wyjaśnił Daniel.

- Zmowa milczenia? - spytał wyraźnie cynicznym tonem Trevor.

- To całkiem normalne - odciął się Daniel.

- Po co mieliby wyciszać coś takiego? - spytała Helen. - To nie ma sensu.

- A od kiedy poczynania policji mają sens? - odparł Daniel. Bemadette wtrąciła się, nim Helen zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

- Nie chce nam się już nawet czytać o takich rzeczach - stwierdziła.

- Mów za siebie - wypalił ktoś, lecz zignorowała go i ciągnęła dalej.

- Jesteśmy przytłoczeni przemocą. Już jej nie zauważamy, nawet gdy mamy ją przed samym nosem.

- Każdego wieczoru na ekranie - wtrącił Archie. - Śmierć i katastrofy, stereo i w kolorze.

- Nic w tym nowego - odparł Trevor. - W epoce elżbietańskiej śmierć była codziennością. Publiczne egzekucje stanowiły popularną formę rozrywki.

Stół rozbrzmiewał kakofonią poglądów. Po dwóch godzinach grzecznego plotkowania, rozmowa nabrała wreszcie wigoru. Słuchając gwałtownej dyskusji, Helen żałowała, że nie zdążyła wywołać fotografii graffiti: mogłyby jeszcze dolać oliwy do ognia. Purcell, jak zwykle, ostatni przedstawił swój punkt widzenia i, jak zwykle, był on zupełnie odmienny.

- Oczywiście Helen, moja droga - zaczął, a udawane znużenie w głosie mocno kontrastowało z gwałtownością sporu - możemy wziąć pod uwagę, że twoi świadkowie mogli kłamać, prawda?

Dyskusja przy stole ucichła i wszystkie głowy zwróciły się w stronę Purcella. Przekornie zignorował powszechną uwagę i zaczął szeptać coś chłopcu, z którym przyszedł. Nowy pupilek, którym w ciągu paru tygodni znudzi się na rzecz kolejnego, przystojnego ulicznika.

- Kłamać? - powtórzyła Helen. Poczwała jak wzburza się wewnątrz na tę uwagę, a Purcell dopiero zaczął mówić.

- Dlaczegoż by nie? - spytał, unosząc do ust kieliszek wina. -Może to wszystko zostało prędkiej zaplanowane. Historyjka o okaleczeniu idioty w publicznym szalecie. Morderstwo staruszka. Albo ten hak. Wszystko dobrze znane. Musisz wiedzieć, że w takich odrażających opowiastkach jest coś tradycyjnego. Są tacy, którzy ciągle je sobie opowiadają, ponieważ jest w nich z pewnością coś frapującego. Coś zmuszającego może, by dodać parę szczegółów do takiej zasłyszanej historyjki - świeżą krew, która uczyniłaby rzecz jeszcze straszniejszą niż była na początku.

- Musisz się na tym znać... - odpaliła Helen. Purcell był zawsze taki zgryźliwy; irytowało ją to. Nawet jeśli jego argumenty były przekonujące, w co wątpiła, prędkiej by umarła, niż przyznała mu rację. - Ja nigdy nie słyszałam podobnych historii.

- Naprawdę? - zdziwił się Purcell, tak jakby przyznała się, że jest analfabatką. - A tę o kochankach i zbiegłym wariacie?

- Ja ją słyszałem - odezwał się Daniel.

- Facet zostaje wypatroszony - oczywiście przez hakorękiego mężczyznę - a zwłoki leżą na dachu samochodu. Narzeczona kuliła się w tym czasie ze strachu wewnątrz. To taka przypowieść ostrzegająca przed złymi stronami skrajnego hetero seksualizmu. - Dowcip

wzbudził powszechną wesołość; nie śmiała się tylko Helen. -Takie historyjki są bardzo popularne.

- Więc twierdzisz, że mnie okłamali? - spytała Helen.

- Po co zaraz okłamali...

- Powiedziałeś okłamali.

- Taka mała prowokacja - wyjaśnił Purcell, a łagodny ton jego głosu był teraz denerwujący jak nigdy. - Nie mam zamiaru insynuować, że jest w tym wszystkim jakaś intryga. Ale musisz przyznać, że jak dotąd nie masz nawet jednego świadka. Wszystko to wydarzyło się w bliżej nie określonym czasie, bliżej nie określonym osobom. Dowiedziałaś się o tych wydarzeniach w pociętych odcinkach. Przydarzyły się, w najlepszym przypadku, braciom albo przyjaciołom dalekich krewnych. Proszę rozważyć możliwość, iż te historyjki nie miały nigdy miejsca, a są jedynie wymysłami znudzonych gospodyń domowych.

Helen nic na to nie odpowiedziała z tej prostej przyczyny, że po prostu nie miała co odpowiedzieć. Uwaga Purcella o kompletnym braku świadków była naprawdę trafna. Sama przedtem już się nad tym zastanawiała. Dziwne było również to, jak szybko kobiety z Ruskin Court zepchnęły morderstwo staruszka na inne osiedle. Jak gdyby takie rzeczy zdarzały się zawsze tuż obok - za rogiem, przy końcu bocznej uliczki - ale nigdy tutaj.

- No to dlaczego? - spytała Bernadette.

- Co dlaczego? - zdziwił się Archie.

- Dlaczego opowiadają te koszmarnie historie, skoro nie są prawdziwe?

- Właśnie - poparła ją Helen, odbijając tym samym piłeczkę z powrotem do Purcella. -

Dlaczego?

Purcell był dumny z siebie, świadom, iż jego włączenie się do rozmowy przemieniło spokojne spekulacje w zażartą dyskusję.

- Nie wiem - odparł zadowolony z wycofania się z debaty, kiedy wyłożył już wszystkie atuty. - Naprawdę nie powinnaś brać mnie zbyt poważnie, Helen. Sam tego nie robię. - Chłopiec siedzący u boku Purcella zachichotał.

- Może jest to dla nich po prostu temat tabu - zauważył Archie.

- Odpowiednio wyciszony... - podsunął Daniel.

- Nie całkiem o to chodzi - zaprzeczył Archie. - Świat to nie tylko polityka, Daniel.

- Wzruszające spostrzeżenie.

- Co takiego jest tabu w śmierci? - spytał Trevor. - Bernadette przed chwilą o tym mówiła: cały czas stoimy z nią twarzą w twarz. Telewizja, gazety.

- Może nie nazbyt blisko - zauważyła Bernadette.

- Czy ktoś ma coś przeciwko, że zapalę? - wtrącił się Purcell. - Wygląda na to, że deser uległ odroczeniu na czas bliżej nieokreślony.

Helen zignorowała tę uwagę i spytała Bernadette, co miała na myśli mówiąc „nie nazbyt blisko”.

Zapytana wzruszyła ramionami.

- Sama dokładnie nie wiem - wyznała - może to, iż śmierć musi być w pobliżu.

Musimy wiedzieć, że czai się tuż za rogiem. Telewizja nie jest na tyle przekonywająca.

Helen poczuła dreszcze. Uwaga ta miała dla niej pewien sens, lecz w tym ferworze nie potrafiła ocenić należycie jej znaczenia.

- Czy tamtych ludzi również uważasz za wyssanych z palca?

- Andrew mówił coś... - odezwała się Bernadette.

- Najmocniej przepraszam - odezwał się Purcell. - Czy ma ktoś zapalki? Chłopak podział gdzieś moją zapalniczkę.

- ...o braku świadków.

- Wszystko czego to dowodzi to fakt, iż nie spotkałam dotąd nikogo, kto by cokolwiek widział - oznajmiła Helen - a nie, że świadkowie nie istnieją,

- W porządku - stwierdził Purcell. - Znajdź choć jednego. Jeśli udowodnisz, że ten twój potworny koleś żyje i oddycha, to postawię wszystkim obiad w „Apollinaire”. I jak? Czy mam za dużo pieniędzy, czy może po prostu wiem kiedy nie mogę przegrać? - Roześmiał się, stukając knykciami w stół, imitując okłaski.

- Brzmi nieźle - oznajmił Trevor. - Co ty na to, Helen?

\*

Nie wróciła na Spector Street aż do następnego poniedziałku, lecz przez cały weekend była tam myślami: stojąc przed zamkniętą toaletą w podmuchach wiatru z deszczem, albo w sypialni z majaczącym na ścianie malowidłem. Osiedle pochłonęło ją bez reszty.

Kiedy w sobotę, późnym popołudniem, Trevor wynalazł kolejny wspaniały powód do kłótni, pozwoliła na obelgi, a obserwując dobrze znany rytuał samoudręczenia, zupełnie się nim nie przejmowała. Ta obojętność jeszcze bardziej go rozeźliła. W zapamiętaniu wrzasnął, że idzie odwiedzić przyjaciółkę. Była zadowolona widząc jego plecy. Kiedy nie wrócił na noc, wcale nie miała zamiaru rozpaczać. Był głupi i próżny. Straciła już nadzieję ujrzeć w jego tępych oczach jakieś czarujące spojrzenie, a cóż jest wart mężczyzna, który nie potrafi być czarujący?

Nie pojawił się również w niedzielę i następnego ranka. Gdy parkowała samochód w sercu osiedla, przyszło jej na myśl, że nikt nie wie nawet, iż tu przyjechała. Mogłaby zginąć, a długo nikomu nie przyszłoby do głowy jej szukać. Tak było ze staruszkiem, z opowieści Anne-Marie, leżącym w zapomnieniu na swym ulubionym fotelu z wydłubanymi oczyma, podczas gdy muchy ucztowały, a masło jełczało na stole.

Niedużo czasu zostało już do Ogniska i podczas weekendu mały stosik opału na Butt's Court urósł do znacznych rozmiarów. Nie wyglądał zbyt stabilnie, ale nie powstrzymało to gromadki chłopców przed wdrapywaniem się na niego i drażnieniem jam. Większość materiału stanowiły meble, skradzione z pewnością z opuszczonych mieszkań. Powątpiewała, by w ogóle się zapaliły, a jeśli nawet to na pewno będą okropnie kopcić. Czterokrotnie, gdy szła do Anne-Marie, zaczepiały ją dzieci, prosząc o pieniądze na fajerwerki.

- Daj pani co łaska, na ładną buzię - krzyczały, choć żadne nie miało ładnej buzi. Nim stanęła na progu, opróżniła kieszenie z drobniaków.

Tym razem zastała Anne-Marie, choć nie dostrzegła u niej powitalnego uśmiechu. Gospodyni patrzyła po prostu na gościa, jak zahipnotyzowana.

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam... Anne-Marie nie odpowiedziała.

- ...wpadłam dosłownie na słówko.

- Jestem zajęta - oznajmiła w końcu Anne-Marie. Tym razem nie zaprosiła do środka, nie zaproponowała herbaty.

- Ach, cóż... to nie potrwa dłużej niż chwilę.

Gdzieś w głębi domu otworzyły się drzwi i przez mieszkanie przeleciał podmuch wiatru. Nad podwórkiem uniosły się papiery. Helen widziała jak fruują w powietrzu niczym wielkie białe ćmy.

- O co ci chodzi?

- Chciałabym tylko porozmawiać o tamtym staruszku. Kobieta zatrzęsa się ledwo dostrzegalnie. Wyglądała na chorą

Helen wydawało się, iż jej twarz ma barwę i fakturę czerstwego ciasta. Jej włosy były proste i tłuste.

- Jakim staruszku?

- Ostatnim razem jak tu byłam, opowiedziałas mi o starym człowieku, który został tu zamordowany, pamiętasz?

- Nie.

- Powiedziałaś, że mieszkał w sąsiednim bloku.

- Nie przypominam sobie - odrzekła Anne-Marie.

- Ale przecież wyraźnie mówiłaś...

W kuchni coś spadło na podłogę i pękło. Anne-Marie wzdrygnęła się, ale nie ustąpiła z progu, ramieniem blokując Helen wejście do mieszkania. W przedpokoju wały się dziecięce zabawki - poszarpane i zmaltratowane.

- Dobrze się czujesz? Anne-Marie potaknęła.

- Mam sporo pracy - oznajmiła.

- Więc nie pamiętasz, abyś w ogóle mówiła mi cokolwiek o staruszku?

- Musiałaś mnie źle zrozumieć - odparła Anne-Marie, a potem ściszyła głos. - Nie powinnaś tu przychodzić. Każdy to wie.  
- Co wie?  
Dziewczyna zaczęła dygotać.  
- Nic nie rozumiesz, co? Wydaje ci się, że ludzie nie mają oczu?  
- Co to ma za znaczenie? Pytałam po prostu...  
- Nic nie wiem - uprzedziła ją, - Cokolwiek ci powiedziałam, kłamałam.  
- No cóż, w każdym razie dziękuję - odparła Helen, zbyt zdumiona zawitymi ostrzeżeniami, aby naciskać dalej. Niemal natychmiast, gdy odwróciła się od drzwi, usłyszała za sobą zgrzyt zamykanego zanika.

\*

Rozmowa była tylko jednym z wielu rozczarowań, jakie przyniósł ten ranek. Helen udała się ponownie na ciąg handlowy i odwiedziła supermarket, o którym mówiła Josie. Popytała trochę o sanitariaty i o ich historię. Właśnie w ubiegłym miesiącu sklep przeszedł z rąk do rąk, a obecny właściciel, małomówny Pakistańczyk, utrzymywał, iż nie wie kiedy ani dlaczego zamknięto szafety. Miała wrażenie, podczas tej rozmowy, że inni klienci uważnie jej się przyglądają. Czowała się jak intruz. Uczucie owo pogłębiło się jeszcze, kiedy po wyjściu z supermarketu ujrzała Josie wychodzącą z pralni samoobsługowej. Zawołała po imieniu; lecz tamta jedynie wzięła nogi za pas i zniknęła w labiryncie wąskich uliczek. Helen ruszyła za nią, ale zupełnie niespodziewanie zgubiła zarówno swą ofiarę, jak i drogę.

Płacząc już prawie z powodu niepowodzeń, stała pośród powywracanych toreb ze śmieciami i czuła dla siebie pogardę. Przecież nie była częścią tego środowiska, prawda? Ileż to razy krytykowała innych za zarozumiałe twierdzenie, iż rozumieją społeczności, które widzieli jedynie z dystansu? I oto ona, popełniając ten sam grzech, przychodzi tutaj z aparatem i mnóstwem pytań, chcąc wykorzystać życie (i śmierć) tych ludzi jako kanwę dla rozmowy przy kolacji. Nie winała Anne-Marie za to, że ją spławiła. Czy zasłużyła na coś więcej?

Zmarznięta i wyczerpana, zdecydowała, iż nadeszła pora, by przyznać Purcellowi rację. Wszystko co usłyszała było wymysłami. Bawiono się nią - wyczuwszy chęć poznania paru koszmarnych historyjek - a ona, jak ostatni głupiec, uwierzyła we wszystkie te absurdy. Była już najwyższa pora uznać swoją łatwowierność i wrócić do domu.

Jednak musiała coś zrobić, przed pójściem do samochodu: ostatni rzut oka na głowę. Nie jak to czyni antropolog badający nowy szczep, lecz jak zagorzały miłośnik diabelskiego młyna: dla samego dreszczyku emocji. Dotarłszy jednak pod numer 14, doznała ostatniego i najbardziej przykrego rozczarowania. Mieszkanie zostało zabezpieczone przez robotników z Zarządu osiedla. Drzwi były zamknięte, okno od strony ulicy blokowały deski.

Pomimo wszystko nie chciała tak łatwo rezygnować. Obeszła od tyłu Butt's Court i po prostych obliczeniach odnalazła podwórko mieszkania nr 14. Furtka była czymś zaparta od wewnątrz, ale pchnęła ją silnie ramieniem i przeszkoda z oporem ustąpiła. Blokowała ją góra śmieci - zbutwiałe dywany, paczka rozmoczonych przez deszcz czasopism oraz uschnięta choinka.

Podeszła przez podwórko do zabitych okien i zajrzała przez deski do środka. Na dworze nie było słonecznie, lecz wewnątrz panował dużo większy mrok. Z trudem dostrzec można było niewyraźny zarys malowidła na sypialnianej ścianie. Przycisnęła twarz do desek, chcąc rzucić pożegnalne spojrzenie.

Przez pokój przepłynął cień, na moment zasłaniając jej widok. Odsunęła się od okna, przestraszona i niepewna tego co widziała. Może był to jej własny cień rzucony przez okno? Ale ona się przecież nie ruszała, on - tak.

Ponownie podeszła do okna, tym razem dużo ostrożniej. Powietrze zadrżało, usłyszała głuchy jęk, ale nie była pewna czy dochodzi z wnętrza budynku czy też z dworu. Jeszcze raz przycisnęła twarz do szorstkich desek i nagle coś podskoczyło do okna. Tym razem krzyknęła. Z wnętrza dobiegł zgrzyt jaki wydają pazury drapiące o drewno.

Pies! I to duży, skoro potrafi tak wysoko skakać.

- Ty głupia - powiedziała do siebie na głos. I nagle oblała się potem.

Drapanie ustało niemal równie szybko jak się rozpoczęło, lecz nie mogła się zmusić, aby podejść do okna. Widocznie robotnicy, którzy zamykali mieszkanie, nie sprawdzili go dokładnie i przez przypadek uwięzili jakiegoś psa. Był zgłodniały, sądząc po dochodzących odgłosach. Dziękowała Bogu, że nie próbowała wejść do środka. Pies - głodny i na pół oszalały w cuchnących ciemnościach - mógł rzucić się jej do gardła.

Popatrzyła na zabite deskami okno. Szpary między nimi szerokie były ledwie na pół cala, lecz wyczuwała, że zwierzę stoi po drugiej stronie na tylnych łapach. Teraz, gdy uspokoił jej się oddech, słyszała sapanie i kły szarpiące parapet.

- Cholerny zwierzaku... - wykrzyknęła. - Nie waż się wyłazić. Wycofała się do furtki. Zastępy wijów i pajaków, zaniepokojonych dziwnymi ruchami swych kryjówek w dywanach blokujących wejście, przemykały pod nogami w poszukiwaniu nowych, mrocznych zakątków.

Zamknęła furtkę i ruszyła chcąc obejść budynek, kiedy usłyszała syreny: dwie okropne spirale dźwięku, od których cierpła skóra. Zbliżały się. Przyspieszyła kroku i dotarła na drugą stronę Butt's Court w samą porę, by ujrzeć kilkunastu policjantów biegnących po trawie koło ogniska oraz ambulans zawracający na chodniku i jadący w kierunku przeciwległej strony placu. Ludzie powychodzili ze swych mieszkań i stali na balkonach spoglądając w dół. Inni obchodzili plac, wyraźnie zaniepokojeni, powiększając tłumek gapiów. Żołądek podszedł Helen do gardła gdy dostrzegła gdzie skupiła się uwaga ludzi: na progu mieszkania Anne-Marie. Policjanci torowali noszowym drogę przez zbiegowisko.

Drugi wóz policyjny zatrzymał się koło karetki, ze środka wysiadło dwóch ubranych po cywilnemu komisarzy. Podeszła do tłumu. Te kilka słów rzucanych przez gapiów wypowiedzianych było bardzo cicho; jedna czy dwie starsze kobiety płakały. Chociaż stawała na palcach, głowy tłumu blokowały widok. Obróciwszy się do brodatego mężczyzny, stojącego obok z dzieckiem na ramionach, spytała co się stało. Nie wiedział. Słyszał, że ktoś nie żyje, ale nie był pewien.

- Anne-Marie? - spytała. Kobieta przed nią obróciła się.

- Znasz ją? - zapytała niemal z nabożeństwem, jakby mówiła o ukochanej osobie.

- Trochę - odparła niepewnie Helen. - Może mi pani powiedzieć co się tam stało?

Kobieta mimowolnie zaskłoniła dłonią usta, jak gdyby chciała powstrzymać wypowiedzane słowa. Mimo wszystko jednak nie udało jej się.

- Dziecko...

- Kerry?

- Ktoś włamał się od tyłu do mieszkania. Podciął mu gardło. Helen poczuła jak ponownie oblewa się potem. Przez mgłę widziała gazety unoszące się nad podwórkiem Anne-Marie.

- Nie - wyszeptwała.

- O, właśnie w ten sposób.

Spojrzała na kobietę, która chciała jej wszystko dokładnie pokazać i jeszcze raz powiedziała:

- Nie. To nie do wiary. - Jej opór nie mógł jednak zmienić straszliwej prawdy.

Odwróciła się plecami do kobiety i przepchnęła przez tłum. Nie było tam nic do oglądania, a jeśli nawet, to nie miała ochoty tego ujrzeć. Ci ludzie - nieustannie wylewający się z domów i przekazujący sobie sensację - okazywali zainteresowanie, które napawało ją odrazą. Nie jest jedną z nich, nigdy nie będzie jedną z nich. Chciała bić każdą podnieconą twarz bez opamiętania, chciała krzyknąć:

„Pragniecie zabawić się kosztem czyjegoś bólu i cierpienia! Dlaczego? Dlaczego?”.

Nie miała jednak dość odwagi. Nagły wstrząs pozbawił ją wszystkiego prócz odrobiny energii potrzebnej by odejść, pozostawiając tłum jego ulubionej rozrywce.

\*

Trevor wrócił do domu. Nie uczynił żadnego kroku, aby wytłumaczyć swą nieobecność, lecz czekał tylko, by wzięła go w krzyżowy ogień pytań. Kiedy zawiodła jego oczekiwania, przybrał słodką pozę poczcziwego chłopca, co było gorsze, niż ostentacyjne milczenie. Miała jakieś mgliste przeświadczenie, że brak zainteresowania z jej strony był dla



niego dużo bardziej niepokojący, niż sceny, do których już przywykł. Nie mogło jej to wszystko mniej obchodzić.

Nastawiła radio na lokalną stację i słuchała wiadomości. Potwierdzały to co powiedziała kobieta z tłumu. Kerry Latimer nie żył. Nieznany osobnik albo osobnicy włamali się od podwórza i zamordowali dziecko bawiące się na kuchennej podłodze. Rzecznik prasowy policji używał oklepanych zwrotów, opisując śmierć Kerry'ego jako „niehumanitarną zbrodnię”, a przestępców jako „niebezpiecznych i pozbawionych wszelkich zasad zwyrodnialców”. Raz tylko jego głos wyraźnie się załamał, gdy mówił o scenie, jaką napotkali policjanci w kuchni Anne-Marie.

- Po co włączyłaś radio? - spytał niedbale Trevor, kiedy Helen wysłuchała trzech kolejnych serwisów. Nie widziała powodu, aby kryć przed nim tragiczne wypadki, których była świadkiem na Spector Street; prędzej czy później i tak by się dowiedział. Bez pośpiechu opowiedziała mu skróconą wersję zdarzeń na Butt's Court.

- Anne-Marie to ta sama kobieta, którą spotkałaś, kiedy po raz pierwszy pojechałaś na tamto osiedle. Nie mylę się?

Potaknęła, mając nadzieję, że nie będzie męczył jej pytaniami. Łzy były blisko, a nie miała zamiaru rozklejać się na jego oczach.

- Więc jednak miałaś rację - powiedział.

-Rację?

- Że kręci się tam jakiś maniak.

- Nie - rzekła. - Nie.

-Ale dziecko...

Podniosła się i stanęła koło okna, spoglądając z wysokości dwóch pięter na ciemniejącą poniżej ulicę. Dlaczego czuła taką nagłą potrzebę odrzucenia teorii o spisku? Dlaczego modliła się teraz, aby to Purcell miał rację, a wszystko co słyszała było kłamstwem? Cofnęła się myślami do minionego poranka, chcąc przypomnieć sobie jak wyglądała wtedy Anne-Marie; blada, niespokojna, świadoma. Była niczym kobieta wyczekująca czyjegoś przybycia, zbywała nieproszonych gości, by powrócić do tego oczekiwania. Lecz na co, albo na kogo czekała? Czy to możliwe, by Anne-Marie знаła mordercę? Może spodziewała się go w domu?

- Mam nadzieję, że znajdą tego skurwiela - powiedziała, nadal wpatrzona w ulicę.

- Na pewno - odparł Trevor. - Zamordowano dziecko, na Boga. Ta sprawa będzie miała absolutny priorytet.

Na rogu ulicy pojawił się mężczyzna, obrócił się i zagwizdał. Wielki owczarek alzacki przypadł mu do nóg i razem ruszyli w stronę katedry.

- Pies - mruknęła Helen.

- Co takiego?

W tym wszystkim zapomniała o psie. Szok, jaki przeżyła kiedy rzucił się do okna, teraz poraził ją ponownie.

- Co za pies? - dopytywał się Trevor.

- Poszłam dzisiaj jeszcze raz do tego mieszkania, w którym fotografowałam graffiti. Był w nim pies. Zamknięty.

- No i?

- Zdechnie z głodu. Nikt nie wie, że jest w środku.

- Skąd wiesz, że nie został zamknięty, aby pilnować mieszkania?

- Robił tyle hałasu - zauważyła.

- Psy szczekają- odparł Trevor. - W tym wszystkie są dobre.

- Nie - powiedziała bardzo cicho, wspominając te odgłosy, które dochodziły zza zabitego deskami okna. - Ten nie szczekał.

- Daj sobie spokój z psem - poradził Trevor. - Z dzieciakiem też. Nic na to nie możesz poradzić. Po prostu przechodziłaś obok.

Jego słowa były tylko echem jej własnych, ale jakoś - z przyczyn których nie potrafiła wyjaśnić - to przeświadczenie straciło na sile w czasie ostatnich paru godzin. Ona nie przechodziła, o tak, po prostu obok. Nikt nie przechodzi sobie po prostu obok; doświadczenie zawsze odciska jakieś piętno. Czasami tylko zadrapanie; nieraz pozbawia kończyn. Nie

wiedziała ile ona sama ucierpiała, czuła, iż szkody były daleko bardziej dotkliwe niż sądziła. I to ją przerażało.

- Skończyła się wódka - oznajmiła, wlewając ostatnie krople do szklaneczki.

Trevor był wyraźnie zadowolony mogąc się czymś przysłużyć.

- Pójdę po coś, zgoda? - zaproponował. - Kupię butelkę albo dwie.

- Dobra - odparła. - Skoro masz ochotę.

Nie było go tylko przez pół godziny; nie zmartwiłaby się, gdyby potrwało to nieco dłużej. Nie miała ochoty na pogawędki; chciała jedynie siedzieć i starać się zrozumieć niepokój dręczący ją duszę. Choć Trevor zakończył swą indagację na psie - a może właśnie dlatego - nie mogła nic poradzić, że oczami duszy wraca do zamkniętej garsoniery. Do wizerunku przerażającej twarzy na ścianie sypialni i stłumionego charczenia zwierzęcia, które drapało pazurami o deski blokujące okno. Wbrew temu co mówił Trevor, nie wierzyła, aby mieszkanie było używane jako zastępcza buda. Nie było wątpliwości, że pies został tam uwięziony i biegał w kółko, doprowadzany z każdą godziną bliżej szaleństwa, gotowy zjeść własne odchody. Bała się, że ktoś - na przykład dzieci, szukające opału na ognisko - włamie się do środka, nie wiedząc co tam napotka. Nie chodziło o bezpieczeństwo złodziejasków, ale o to, że pies uwolniony może przyjść po nią. Odnalazłby ją (myślała, sporo już wypiwszy) po śladach.

Trevor wrócił z zapasem whisky i pili razem, aż do białego rana, kiedy to jej żołądek miał już dość. Ulżyła sobie w toalecie, a Trevor stał na zewnątrz pytając czy czegoś nie potrzebuje. Odparła mu słabym głosem, żeby zostawił ją samą. Kiedy po godzinie wreszcie wyszła, Trevor poszedł już do łóżka. Nie przyłączyła się do niego, lecz położyła na sofie i przedrzemalała aż do świtu.

\*

Morderstwo było sensacją dnia. Krótkie notatki pojawiły się na pierwszych stronach wszystkich porannych wydań, a i w środku sprawa zajęła poczesne miejsca. Zamieszczono zdjęcia zbolącej matki wyprowadzanej z mieszkania i inne, niewyraźne, lecz wstrząsające, zrobione z murku okalającego podwórce i przez otwarte drzwi do kuchni. Czy na podłodze została krew, czy też był to tylko cień?

Helen nie przeczytała artykułów - boląca głowa stanowczo protestowała przeciw temu pomysłowi - ale Trevor, który przyniósł gazety, wyraźnie miał ochotę porozmawiać. Nie mogła wyczuć czy są to tylko dalsze kroki pojednawcze, czy też autentyczne zainteresowanie.

- Kobieta znajduje się w areszcie - oznajmił wertując Dailly Telegraph. Na gruncie polityki gazeta reprezentowała zupełnie inne poglądy niż on, lecz brutalne zabójstwo zostało tu szczegółowo opisane.

Tak czy owak, ta wiadomość wzbudziła ciekawość Helen.

- W areszcie? - spytała. - Anne-Marie?

- Tak.

- Pokaż. Podał jej gazetę.

- Trzecia kolumna - podpowiedział Trevor.

Znalazła ten urywek. Anne-Marie została zatrzymana do wyjaśnienia, co się działo w czasie między ustaloną godziną zgonu dziecka, a momentem zgłoszenia jego śmierci. Helen dwa razy przeczytała stosowne zdania, by się upewnić czy wszystko dobrze zrozumiała. Eksperti policyjni ustalili, że Kerry zmarł między szóstą, a szóstą trzydzieści rano; morderstwo zgłoszono dopiero po dwunastej.

Przeczytała raport trzeci i czwarty raz, lecz nie zmieniło to okropnych faktów. Dziecko zabito przed świtem. Kiedy dotarła do domu Anne-Marie, Kerry nie żył już od czterech godzin. Ciało leżało w kuchni, kilka jardów od przedpokoju, w którym stała, a Anne-Marie nie pisnęła ani słówka. Aura oczekiwania, która ją otaczała - czy coś oznaczała? Może oczekiwała zachęty, by podnieść słuchawkę i zadzwonić po policję?

- O Boże... - wyszeptała Helen i upuściła gazetę.

- Co się stało?

- Muszę iść na policję.

- Dlaczego?
- Muszę im powiedzieć, że byłam w tym domu - odparła. Trevor nie bardzo rozumiał o co chodzi. - Dziecko nie żyło, Trevor. Kiedy widziałam się z Anne - Marie wczoraj rano, Kerry już nie żył.

\*

Zadzwoiła pod numer podany w gazecie, gdzie miały zgłaszać się osoby wiedzące cokolwiek o tej sprawie. Pół godziny później podjechał policyjny radiowóz, aby ją zabrać. W ciągu następnych dwóch godzin przesłuchania zaskoczyło ją wiele rzeczy. Wcale nie najmniej zadziwiającą była wiadomość, iż nikt nie zawiadomił policji o jej pobycie na osiedlu, choć z całą pewnością została zauważona.

- Ci ludzie nie chcą o niczym wiedzieć - wyjaśnił jej detektyw. - Można by pomyśleć, że takie miejsce będzie aż roić się od świadków. Jeśli tacy istnieją, to nie ujawnili się dotychczas. Podobne morderstwo...

- To nie jest pierwsze? - przerwała mu. Spojrzał na nią przez zagracone biurko.

- Pierwsze?

- Słyszałam parę opowieści o tym osiedlu. O morderstwach. Ubiegłego lata.

Detektyw pokręcił głową,

- Nic nie wiem na ten temat. Przetoczyła się tam co prawda fala napadów; jakaś kobieta wylądowała nawet w szpitalu na tydzień. Ale nie, nie było morderstw.

Poczuła sympatię do tego detektywa. Jego oczy zauroczyły ją swym rozmarzeniem, a twarz szczerością. Nie dbając czy zabrzmiało to głupio czy nie, spytała:

- Po co opowiadają takie straszne kłamstwa? O ludziach z wydłubanymi oczami? Straszne rzeczy. Policjant podrapał się w długi nos.

- My mamy to samo - powiedział. - Ludzie przychodzą do nas zwierając się z całej masy najróżniejszych głupot. Niektórzy przez całą noc opowiadają o przestępstwach, które popełnili, albo które wydaje im się, że popełnili. Podają wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. A kiedy trochę podzwonisz okazuje się, że wszystko jest wysrane z palca. Tymczasem oni niczego już nie pamiętają.

- Może gdyby nie opowiedzieli tych historyjek... teraz właśnie wcielaliby je w życie. Potaknął.

- Tak. Boże miej nas w swojej opiece. To może być racja. A te historie, które jej opowiedziano, czy były wytworami chorych umysłów, stworzone by nie dopuścić, żeby majaki stały się rzeczywistością? Taka myśl ciągnęła za sobą następny wniosek: koszmary potrzebowały przecież jakiejś pierwotnej przyczyny, jakiegoś źródła skąd mogłyby wytrysnąć. Idąc do domu zatłoczonymi ulicami, Helen zastanawiała się, ilu z widzianych ludzi zna podobne historie. Czy takie makabreski były teraz popularne, tak jak uważał Purcell? Czy w każdym sercu jest miejsce, choć małe, dla bestii?

- Dzwonił Purcell - oznajmił Trevor, kiedy wróciła do domu. - Zaprasza nas na obiad.

Jakiegokolwiek zaproszenie było teraz całkiem nie na miejscu, więc wykrzywiła twarz w grymasie niechęci.

- Do „Apollinaire”, pamiętasz? - przypomniał jej. - Obiecał, że zabierze nas na obiad, jeśli udowodnisz, że się mylił.

Myśl o zjedzeniu obiadu zaraz po tragicznej śmierci dziecka wydała jej się groteskowa i wcale tego nie kryła.

- Będzie czuł się urażony, jeśli mu odmówisz.

- Guzik mnie to obchodzi. Nie mam najmniejszej ochoty na obiad z Purcellem.

- Proszę - rzekł słodko. - Może narobić kłopotów, a właśnie teraz chcę, żeby był zadowolony.

Przyjrzała mu się uważnie. Spojrzenie, którym ją uraczył, upodobało go do zmokniętego spaniela. Sprytny skurczysyn, pomyślała; na głos jednak odparła - w porządku, pójdę. Ale nie oczekuj, że będę tańczyła po stołach.

- To zostawimy dla Archiego - odrzekł. - Powiedziałem, że będziemy wolni jutro wieczorem. Pasuje ci?

- Wszystko jedno.

- Zarezerwował stół na ósmą,

Popołudniówki ograniczyły „Tragedię Małego Kerry'ego” do parociałowych kolumn gdzieś w środku numeru. Zamiast jakichś nowych informacji, opisywali po prostu szczegółowe przepytanie, jakie prowadzi policja na Spector Street. Kilka późnych wydań wspominało, że Anne-Marie zwolniono z aresztu po przedłużającym się okresie przesłuchań i przebywa teraz u przyjaciół. Wspomnieli również, pod koniec, iż pogrzeb odbędzie się nazajutrz.

Nie miała zamiaru wracać na Spector Street, by uczestniczyć w pogrzebie, kiedy kładła się do łóżka tego wieczora. Lecz sen zmienił chyba jej zdanie, bo obudziła się z postanowieniem, że jednak pójdzie.

\*

Śmierć przydała życia osiedlu. Idąc od głównej ulicy w stronę Ruskin Court, spotkała tłumy, jakich nie widziała jeszcze nigdy. Mimo wiatru i nieustającego deszczu, wielu ustawiło się od razu w szpaler, by zaklepać sobie miejsce i obserwować orszak pogrzebowy. Niektórzy przywdziali jakieś czarne elementy odzieży - płaszcze, chusty - lecz całość, mimo ściszonych głosów i poważnych min, bardzo przypominała odpustowy jarmark. Dzieci biegały dookoła, nie zważając na powagę chwili. Raz po raz z grupy plotkujących ludzi dolatywał śmiech. Helen wyczuwała aurę oczekiwania, która nadawała ją, mimo okoliczności, niemal radością,

To nie tylko sama obecność tylu ludzi wprawiała ją w pogodny nastrój. Była - nie bała się do tego przyznać - po prostu szczęśliwa, że jest znowu na Spector Street. Placyki, z tymi karłowatymi drzewkami i zszarzałą trawą były jej bliższe niż wykładane dywanami korytarze, po których przywykła spacerować. Anonimowe twarze na balkonach i uliczkach znaczyły więcej niż koledzy z uniwersytetu. Jednym słowem - czuła się jak w domu.

Wreszcie pojawiły się samochody, sunąc w ślimaczym tempie przez wąskie uliczki. Gdy nadjechał karawan, z małą trumienką obłożoną kwiatami, kilka kobiet w tłumie wydało cichy okrzyk bólu. Ktoś zasłabł; wokół niego zebrała się od razu niespokojna grupa ludzi. Nawet dzieci jakoś ucichły.

Helen obserwowała wszystko z suchymi oczami. Nielatwo poddawała się łzom, zwłaszcza w obecności innych. Kiedy drugi samochód, ten z Anne-Marie i dwiema innymi kobietami, zrównał się z nią, Helen spostrzegła, iż osierocona matka również powstrzymuje się przed publicznym okazywaniem cierpienia. Właściwie to sprawiała wrażenie nieomal ogłuszonej nagłymi wydarzeniami. Siedziała wyprostowana na tylnym siedzeniu z bladą twarzą, będącą obiektem powszechnego współczucia. Przykro było o tym myśleć, ale Helen czuła wewnętrznie, że są to najpiękniejsze chwile Anne-Marie. Oto dzień, w którym wyrwana została z szarości życia, by stanąć w centrum powszechnej uwagi. Orszak pogrzebowy powoli przesunął się i zniknął gdzieś w oddali.

Tłum wokół Helen zaczął się już przerzedzać. Pozostawiła grupkę płaczków, które nadal stały na chodniku, i ruszyła w stronę Butfs Court. Miała zamiar wrócić do owego zamkniętego mieszkania i sprawdzić, czy pies nadal tam siedzi. Jeśli tak, to ulży sumieniu i zawiadomi dozorcę.

Placyk przed Butfs Court był, o dziwo, praktycznie pusty. Widocznie mieszkańcy, będąc sąsiadami Anne-Marie, poszli na mszę do przykrematoryjnej kaplicy. Pozostały jedynie dzieci, bawiące się wokół piramidy ogniska. Ich zwielokrotnione echem głosy grzmiały na pustym placu. Dotarwszy do mieszkania, została zaskoczona widokiem otwartych drzwi. Tak samo wyglądało to miejsce, gdy przyszła tu po raz pierwszy. Widok wnętrza przyprawił ją o zawrót głowy. Ileż to razy w ciągu ubiegłych kilku dni wyobrażała sobie, że stoi tu, spoglądając w mrok. Z wnętrza nie dochodził żaden dźwięk. Pies pewnie uciekł - albo, co też możliwe, zdechł. Nic się nie może stać jeśli wejdzie tam ostatni raz i zobaczy twarz namalowaną na ścianie oraz tę myśl obok.

„Słodkości dla słodkiej”. Nie szukała źródła, skąd pochodzi to zdanie. Nie ma to znaczenia, myślała. Czymkolwiek było kiedyś, teraz jest już zmienione, tak jak wszystko, włączając ją. Zatrzymała się na chwilę w living-roomie, by napawać się czekającym spotkaniem. Gdzieś daleko w tyle rozległ się wrzask dzieci, podobny do wrzawy oszalałych ptaków.

Obeszła stertę starych mebli i ruszyła w stronę krótkiego korytarzyka, łączącego oba pokoje, nieustannie odwołując się do upragnionej chwili. Serce biło jej gwałtownie, na ustach igrał uśmiech.

Nareszcie! Jest! Portret był niewyraźny, lecz jak zwykle przekonujący. Ruszyła do wnętrza mrocznego pokoju, by w pełni móc podziwiać obraz i po chwili jej stopy natrafiły na materac, który ciągle leżał rzucony w kącie. Spojrzała na podłogę. Brudne legowisko zostało wywrócone, ukazując tę nie podartą stronę. Kilka koców i owinięta w szmaty poduszka spoczywały na wierzchu. Coś zajaśniało w fałdach najbliższego łachmana. Pochyliła się i spostrzegła garść słodczy - czekoladek i cukierków - zawiniętych w jasny papier. Między nimi tkwiło, ani tak kuszące, ani słodkie, kilkanaście żyletek. Na niektórych widać było krew. Wyprostowała się i zaczęła cofać, gdy nagle z sąsiedniego pokoju doleciało ją bzyczenie. Obróciła się i w pomieszczeniu zrobiło się jeszcze ciemniej, gdy między nią a światłem stanęła jakaś postać. Mężczyzna stał w drzwiach, pod światło, więc nie widziała go wyraźnie, ale za to doskonale wyczuwała. Pachniał jak wata cukrowa, a bzyczenie przyszło wraz z nim albo było wręcz w nim samym.

- Przyszedłem, żeby tylko popatrzeć - wyjąkała - ... na ten rysunek.

Bzyczenie narastało - cisza sennego popołudnia bezpowrotnie zniknęła. Mężczyzna w drzwiach się nie poruszył.

- Cóż - powiedziała - obejrzałam już sobie wszystko. - Łudziła się, że na te słowa człowiek odsunie się i przepuści ją do wyjścia, lecz on ani drgnął. Nie miała dość odwagi, by to wymusić pchnięciem się do drzwi.

- Powinam już iść - powiedziała, zdając sobie sprawę, że mimo wysiłków z każdej sylaby wyciera strach. - Czekają na mnie...

Nie było to kompletne kłamstwo. Dziś wieczorem byli zaproszeni do „Apollinaire” na kolację. Lecz do ósmej pozostały cztery godziny. Jeszcze dużo czasu upłynie, nim zainicjują jej poszukiwania.

- Pan wybaczy - rzekła niepewnie.

Bzyczenie nieco ucichło i w tej nagłej ciszy odezwał się mężczyzna. Jego matowy głos był nieomal równie słodki, jak zapach, który rozsiewał wokół.

- Nie ma pośpiechu - wyszeptał.

- Jestem umówiona...

Choć nie widziała jego oczu, czuła je na sobie. Ogarnęła ją senność, podobnie jak latem, które teraz śpiewało jej w głowie.

- Przybyłem po ciebie - powiedział. Powtórzyła w myślach te trzy słowa. Przybyłem po ciebie. Jeśli były groźbą, to z całą pewnością tak nie brzmiały.

- Nie znam... cię - odparła.

- To prawda - wyszeptał. - Ale we mnie wątpiłaś.

-Wątpiłaś?

- Nie wystarczyły ci zasłyszane opowieści ani napisy na ścianach. Więc byłem zmuszony sam przybyć.

Senność mąciła jej umysł, lecz uchwyciła ogólny sens tych słów. To, że był legendą, a ona nie wierząc w niego, zmusiła go do ukazania karzącej dłoni. Spojrzała na te dłonie. Jednej brakowało. Zamiast niej umocowano hak.

- Będą cię winić - powiedział. - Będą mówić, że przez twoje zwątpienie popłynęła niewinna krew. Lecz pytam się, po co jest krew, jeśli nie do przelewania? A po pewnym czasie śledztwo dobiegnie końca. Policja wyjedzie, kamery skierują się na nowe koszmary, a oni zostaną tu sami, by móc na nowo opowiadać o Cukierniku.

- O Cukierniku? - powtórzyła zdziwiona. Język z trudem wymówił tak niewinne słowo.

- Przybyłem po ciebie - mruknął delikatnie, nieomal uwodzicielsko. Z tymi słowami wyszedł z korytarzyka na światło.

Bez wątpienia, znała go. Zdażyła go dokładnie poznać, kiedy przychodziła do tego upiornego miejsca. To był ten człowiek ze ściany. Malarz nie stworzył tu niczego: portret był dokładnym odzwierciedleniem mężczyzny stojącego przed nią. Aż do przesady: twarz miała woskowożółtą, wąskie wargi, bladoniebieskie oczy pały, jakby źrenice wysadzane były rubinami. Marynarka została zszyta z kawałków, tak samo jak spodnie. Wyglądał nieomal

groteskowo w tym stroju poplamionym krwią i z purpurową smugą na pożąłkłych policzkach. Lecz ludzie właśnie tego oczekują. Potrzebne były te wszystkie symbole i dodatki, by przyciągnąć ich uwagę. Cuda, morderstwa, obudzone demony i kamienie z grobowców. Tani połysk nie niweczył ukrytego sensu. Były to tylko piórka, które miały zwrócić uwagę.

Stała niemal jak zaczarowana. Głosem, kolorami i bzycczeniem dobywającym się z jego ciała. Walczyła jednak z tym zaklęciem. Pod nęcącym wizerunkiem kryła się bestia; u jej stóp leżał komplet żyłek, ciągle pokrytych krwią, Czy zawaha się poderznąć jej gardło, jeśli już położy na niej swe łapy?

Gdy Cukiernik ruszył w jej kierunku, pochyliła się, podniosła jeden z koców i cisnęła w niego. Deszcz żyłek i cukierków uderzył go po ramionach. Koc opadł mu na twarz. Nie zdążyła jednak skorzystać z okazji i przemknąć do drzwi; przeszkodziła jej w tym poduszka, która leżała na kocu.

Nie, nie była to wcale poduszka. Cokolwiek zawierała mała, biała trumienka jadąca na karawanie, nie było to ciało małego Kerry'ego. Ono leżało tutaj, u jej stóp, z zakrwawioną twarzą zwróconą w jej stronę. Było nagie. Ciało znaczyły ślady zainteresowania ze strony maniaka.

W ciągu tej chwili, kiedy przeżywała ostatni koszmar. Cukiernik zdążył zrzucić koc. Podczas szarpaniny jego marynarka rozpięta się i Helen spostrzegła - mimo protestów rozsądku - że jego tors zniknął, a w dziurze kłębił się rój pszczoł. Tłoczyły się w klatce piersiowej i pokrywały kipiącą masą wiszące tam resztki ciała. Uśmiechnął się na widok jej odrazy.

- Słodkości dla słodkiej - wyszeptał i wyciągnął w kierunku jej twarzy swą hakowaną rękę. Nie mogła dostrzec już ani promyka światła z zewnętrznego świata, ani nie słyszała dzieci bawiących się na podwórzu. Nie było ucieczki w rzeczywistość. Cukiernik przesłonił jej widok; wymęczone ciało nie miało dość siły by stawić opór.

- Nie zabijaj mnie - wydusiła z siebie.

- Wierzysz we mnie? - spytał. Potaknęła z zapalem.

- Jakże bym mogła nie wierzyć?

- Więc dlaczego pragniesz żyć?

Nie rozumiała, a przypuszczając, że może okazać się to fatalne w skutkach, zachowała milczenie.

- Gdybyś wiedziała - ciągnął szaleniec - tylko odrobinę tego co ja wiem... nie błagałabyś o życie. - Jego głos opadł aż do szeptu. - Jestem legendą - zaśpiewał jej wprost do ucha. - Wierz mi, to błogosławiony stan. Żyć w ludzkich snach, być wspomnianym szeptem w zaułkach, lecz nie musisz koniecznie istnieć. Rozumiesz?

Jej udreżone ciało rozumiało. Jej nerwy, wyczerpane bzycczeniem, rozumiały. Oferował czystą słodycz życia poza życiem: bycia martwym, lecz przez wszystkich pamiętanym; nieśmiertelność w legendzie i graffiti.

- Bądź moją ofiarą - nalegał.

- Nie... - wyszeptała.

- Nie będę cię zmuszał - odparł, prawdziwie po dżentelmeńsku.

- Nie będę cię przymuszał do śmierci. Lecz pomyśl. Jeśli cię tutaj zabiję, jeśli cię rozedrę - przejechał w powietrzu hakiem od pachwiny aż po szyję - to pomyśl jak ludzie napelnią to miejsce rozmowami... wyobraź sobie jak będą przychodzić i mówić: „To tu zginęła ta kobieta o zielonych oczach”. Twoją śmiercią będą straszyć dzieci. Zakochani będą ją wykorzystywać jako pretekst, by się do siebie mocniej przytulić.

Przyznała w myślach, że było to kuszące.

- Czy droga do sławy była kiedykolwiek równie prosta? - spytał.

Pokręciła głową

- Wolałabym już, żeby o mnie zapomniano, niż być pamiętaną w taki sposób.

Wzruszył nieznacznie ramionami.

- Co tak naprawdę wiedzą dobrzy? - spytał. - Z wyjątkiem tego, co nauczą ich źli swymi postępkami? - Uniósł hakowaną rękę.

- Obiecałem, że nie będę cię przymuszał do śmierci i dotrzymam słowa. Pozwól jednak, że przynajmniej cię pocałuję.

Ruszył ku niej. Dobyła z siebie jakieś bezsensowne groźby, które i tak zignorował. Brzęczenie w jego wnętrzu narastało. Myśl, że za chwilę dotknie jego ciała pokrytego owadami, była nie do zniesienia. Uniósł ołowiane ręce, by go powstrzymać.

Jego upiorna twarz przysłoniła portret na ścianie. Helen nie potrafiła się jednak przemóc, by go dotknąć i dlatego postąpiła krok do tyłu. Brzęczenie pszczoł narastało. Niektóre, bardzo rozeźlone, przeszły przez gardło i wylatywały z ust Cukiernika. Łaziły mu po wargach, wkręcały się we włosy.

Cały czas błagała, by zostawił jaw spokoju, lecz on był nieprzejednany. Wreszcie nie miała już dokąd się dalej cofać. Przygotowana duchowo na ból żądeł, położyła dłonie na jego oblepionych owadami piersiach i pchnęła. W tym momencie hakowata ręka wystrzeliła do przodu i zaczepliła o jej kark, zadrasnawszy go niezbyt boleśnie. Poczuli jak cieknie krew; była przerażona, że jednym ruchem mógłby rozedrzeć jej tętnicę. Ale on dał słowo i również tym razem go dotrzymał.

Pszczoły, wzburzone gwałtownymi ruchami, latały jak oszalałe. Czuli je na sobie, szukające wosku w uszach i cukru na wargach. Nie uczyniła nic, by je strząsnąć. Miała na karku hak. Gdyby się gwałtownie poruszyła, mógłby ją poważnie zranić. Była złapana w potrzask, jak w dziecięcych koszmarach, bez żadnej szansy na ucieczkę. Kiedy we śnie znajdowała się w podobnej, beznadziejnej sytuacji - gdy demony czyhały ze wszystkich stron, by rozerwać ją na sztuki - pozostawało tylko jedno wyjście. Dać za wygraną, zrezygnować z chęci życia i pozostawić ciało ciemnym mocom. Teraz, gdy twarz Cukiernika przycisnęła się do jej własnej, a brzęczenie pszczoł zagłuszało nawet oddech, uczyniła to samo. I podobnie jak w snach, pokój wraz z bestią rozmyły się i zniknęły.

\*

Ocknęła się w kompletnym mroku. Przez kilka strasznych chwil nie wiedziała gdzie się znajduje, a potem przez kilka następnych, powoli do tego dochodziła. W ogóle nie czuła bólu. Dotknęła ręką karku: był - jeśli nie liczyć drobnego zadrapania - zupełnie nie naruszony. Spostrzegła, że spoczywa na materacu. Czy zgwałcono ją kiedy leżała bez czucia? Ostrożnie zbadała się. Nie krwawiła, rzeczy nie były poszarpane. Wyglądało na to, że Cukiernik rzeczywiście chciał ją tylko pocałować.

Usiadła. Przez zabite deskami okno wpadało nieco drogocennego światła, a od drzwi wiało ciemnością. Może były zamknięte - tłumaczyła sobie. Ale nie: słyszała jak na progu ktoś szepcze. Kobięcym głosem.

Nie poruszyła się. Ci ludzie tu też byli szaleni. Od początku wiedzieli do czego prowadzi jej obecność na Butt's Court, lecz oni go ochraniali - tego słodkiego psychopaty. Oferowali mu schronienie i cukierki, kryjąc przed wścibskimi oczami i trzymając język za zębami mimo, że przynosił krew do ich drzwi. Nawet Anne-Marie stała spokojnie, dobrze wiedząc, że jej dziecko leży martwe kilka jardów dalej.

Dziecko! Takiego dowodu właśnie potrzebowała. Udało im się jakoś wykraść ciało z trumny (co włożyli do trumny - zdechłego psa?) i przywieźli je tu, do świątyni Cukiernika, jako zabawkę albo kochanka. Mogłaby zabrać ciało Kerry'ego na policję i opowiedzieć całą historię. Obojętnie czy we wszystko by uwierzyli, co bardzo wątpliwe - istnienie ciała nie podlegało dyskusji. Przynajmniej paru pomyleńców ucierpiałoby za swe wyczyny. Cierpieliby za jej cierpienie.

Szepty przy drzwiach urwały się. Ktoś szedł w stronę sypialni. Kimkolwiek był, nie niósł ze sobą latarki. Helen skuliła się w nadziei, że nie zostanie dostrzeżona.

W drzwiach pojawiła się postać. Panował zbyt nieprzenikniony mrok, by mogła dostrzec więcej niż niewyraźną sylwetkę, która schyliła się i podniosła coś z podłogi. Kaskada blond włosów zdradziła intruza - była to Anne-Marie. Niewątpliwie podnosiła z podłogi ciało Kerry'ego. Nie spojrzawszy nawet w kierunku Helen, kobieta obróciła się i wyszła z sypialni.

Helen nasłuchiwała jak jej kroki gasną w living-roomie. Powoli wstała i wyszła na korytarz. Dostrzegła stąd niewyraźną postać Anne-Marie stojącą w drzwiach garsonieri. Na dziedzińcu nie paliło się ani jedno światło. Kobieta zniknęła i Helen ruszyła za nią najszybciej

jak tylko mogła, patrząc intensywnie w otwór drzwi. Potknęła się kilka razy, ale dosięgła wyjścia w samą porę, by dostrzec zamazaną sylwetkę w ciemnościach nocy.

Wyszła na zewnątrz. Było chłodno, na niebie nie świeciły gwiazdy. Wszystkie światła na balkonach i korytarzach zostały pogaszone, tak samo jak te w mieszkaniach; nie było też łuny bijącej od telewizorów. Butt's Court sprawiało wrażenie kompletnie pustego.

Nie była do końca zdecydowana, czy jest sens gonić dziewczynę. Czy nie lepiej, podpowiadała ukryta w niej obawa, uciec stąd do samochodu? Lecz jeśli tak właśnie zrobi, spiskowcy będą mieli dość czasu, by ukryć ciało. Kiedy wróci tu z policją, może zastać zasnurowane usta i niechętnie wzdrygnięcia ramionami. Mogą jej powiedzieć, że zwyczajnie wymyśliła sobie trupa i Cukiernika. Wszystkie te koszmary, które przeżyła, mogą znów zamienić się w zwykłe historyjki do poduszki. W słowa na ścianach. I każdego następnego dnia będzie czuła do siebie coraz większą odrazę, że nie ruszyła wtedy w pościg.

Udała się za Anne-Marie, która nie szła chodnikiem, lecz zmierzała ku środkowi trawnika, leżącego w centrum podwórza. Do ogniska. Do ogniska! Widniało przed Helen, ciemniejsze od nocnego nieba. Dostrzegła postać Anne-Marie sunącą do sterty mebli oraz kawałków drewna i wygrzebującą w nim dziurę. To w ten sposób zamierzali usunąć dowód. Zwykłe spalanie na pewno nie wystarczyłoby, ale po takiej kremacji i spopieleniu kości - kto wie?

Stała kilka jardów od piramidy obserwując jak Anne-Marie kończy swe dzieło i odchodzi ku wszechobecnym ciemnościom.

Helen pospiesznie przebyła pas wybujałej trawy i odszukała lukę w stosie drewna, gdzie Anne-Marie złożyła dziecko. Wydało jej się, że dostrzega nikły kształt. Nie mogła jednak go dosięgnąć. Dziękując Bogu, że była równie szczupła jak Anne-Marie, wepchnęła się w wąski przesmyk. Sukienka zahaczyła o sterczący gwóźdź. Odwróciła się, by ją odczepić drżącymi palcami. To wystarczyło, by straciła ciało z oczu.

Parła po omacku do przodu, obmacując rękami drewno, stare szmaty i coś, co wyglądało na grzbiet starego fotela, ale nie było zimną skórą dziecka. Przygotowała się na dotyk trupa; przeżyła dużo gorszych rzeczy przez minioną godzinę, niż trzymanie martwego chłopca. Wciąż nie dając za wygraną, posunęła się ciut do przodu, płacąc za to podrapaniem skóry i drzazgami w palcach. W bolących oczach zaczęły pojawiać się kręgi, krew tętniła w uszach. Lecz nagle! - nie dalej jak o półtora jarda - dostrzegła ciało dziecka. Wyciągnęła się do przodu by je chwycić, lecz zabrakło jej dosłownie paru cali. Ponowiła wysiłek, tym samym wzmagając szum w głowie, lecz ciągle nie mogła dosięgnąć. Pozostało jej jedynie zgiąć się w pół i jakoś przecisnąć bliżej środka stosu.

Nie było to łatwe. Miejsca zostawało tak niewiele, że z ledwością mogła czołgać się na kolanach, ale w końcu udało się. Dziecko leżało twarzą do ziemi. Pozbyła się obrzydzenia oraz niechęci i wyciągnęła ręce. W tym samym momencie coś spoczęło na jej ramieniu. Na sekundę struchlała. Chciała krzyknąć, lecz powstrzymała się, zapominając też o złości. Brzęcząc, owad uniósł się z jej skóry. Szum, który słyszała, nie był wywołany przez tętnienie krwi, lecz przez rój.

- Wiedziałem, że przyjdiesz - odezwał się głos za jej plecami a rozwarta dłoń zakryła jej usta. Upadła i Cukiernik musiał ją podnieść.

- Powinniśmy iść - szepnął jej do ucha, gdy między drewnienkami wystrzelił chybotliwy płomyk. - Musimy iść naszą drogą, ty i ja.

Próbowała się od niego uwolnić i krzyknąć, by nie rozniecali ogniska, lecz on trzymał ją silnie w miłosnym uścisku. Robiło się coraz jaśniej i cieplej. Mimo płomieni widziała postacie wychodzące z mroku i obserwujące ich stos pogrzebowy. Byli tam przez cały czas - czekali ze zgaszonymi światłami w domach i na korytarzach. Czekali na ostateczny finał spisku.

Ognisko paliło się żywo, lecz z jakiegoś powodu płomienie nie przedostawały się do ich kryjówek, dym na razie również nie zadławił ich na śmierć. Obserwowała pałające twarze dzieci. Obserwowała jak rodzice upominają je by nie podchodziły zbyt blisko i jak one nie słuchały. Obserwowała jak staruszki, mające kłopoty z krążeniem ogrzewały dłonie i uśmiechały się do płomieni. Łoskot ognia oraz trzaskanie drewna stały się wprost



ogłuszające i Cukiernik pozwolił jej krzyczeć do woli z pełną świadomością, że i tak nikt jej nie usłyszy. A jeśli nawet, to nie uczyni nic, by ją stąd wyciągnąć.

Gdy zwiększył się żar, pszczoły wyleciały z żołądka Cukiernika i wypełniły powietrze bezładnym bzyczeniem. Kilka, chcąc uciec, zapaliło się i spadło na ziemię niczym małe meteory. Ciało Kerry'ego, leżące blisko żarłoczných płomieni, zaczęło się smażyć. Paliły się jego rzadkie włoski, plecy pokryły bąble.

Wkrótce żar wdarł się Helen do gardła i wysuszył je na wiór. Opadła wyczerpana w ramiona Cukiernika, poddając się. Za chwilę, zgodnie z jego obietnicą, ruszą we wspólną drogę i nie było na to rady.

Być może zapamiętają ją, jak zapowiedział, znalazłszy jutro jej czaszkę w popiele. Być może stanie się z czasem legendą, którą będą straszyć swe dzieci. Kłamała, mówiąc, że woli zapomnienie, niż taką wątpliwą sławę. Wcale tak nie uważała.

Co do oprawcy, to śmiał się, gdy ogarniały ich płomienie. Dla niego ta nocna śmierć nie była czymś ostatecznym. Jego dzieła widniały na setkach ścian i były pożywką dla tysięcy ust. A jeśli znów ktoś w niego zwątpi, wyznawcy wezwą go z rozkoszą. Miał powody do śmiechu. Ona też zaczęła się śmiać, gdy ogarnęły ich płomienie i nagle dostrzegła przez ogień znajomą twarz pośród widowni. Był to Trevor. Zrezygnował z kolacji w „Apollinaire” i przyszedł jej szukać.

Obserwowała jak rozpytuje ludzi, ale oni kiwali tylko głowami, cały czas wpatrując się w ogień, z uśmiechem żarzącym się w oczach. Biedna ofiara, pomyślała śledząc jego dziwaczne gesty. Pragnęła, by spojrział na płomienie w nadziei, że dostrzeże, jak ona płonie. Nie aby ją uratował - co do tego już dawno straciła złudzenia - lecz ponieważ było jej go żal. Chciała mu ofiarować - choć pewnie wcale nie byłby jej za to wdzięczny - coś, co mogłoby go w nocy straszyć. To, oraz historię do opowiadania kolegom.

## Koniec